



Zaklad Inwalidztwa
"PRACA"
L. BZPACHOWICZ
Szczecin, Krolewska 34.



Termin zwrotu kasy

519



511

Syda. Robot. Chmiej.

Karta obrotów emerytalnych.

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

WYCHODZI 10, 20 I 30 KAŻDEGO MIESIĄCA

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, ULICA NOWOWIEJSKA 27.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Kwartalnie (9 tomów).	3 zł. 60 gr.
Półrocznie (18 ").	7 " 20 "
Rocznie (36 ").	13 " — "

z przesyłką pocztową.

ROK	I
TOM	VII

94.
HENRYK RZEWUSKI

269.
Z PAMIĘTNIKÓW
SOPLICY



(PAN DZIERŻANOWSKI, KS. RADZIWIŁŁ PA-
NIE KOCHANKU, KS. MAREK, TADEUSZ REJ-
TAN, PAN REWIEŃSKI, TRYBUNAŁ LUBEL-
SKI, SAWA).



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

5

28745

Przeznaczony w Zakł. Graficznych

B. Wierzbicki i S-ka

w Warszawie.



62

821.1621-3

Miejska

Biblioteka

Publiczna

~~B-1128~~

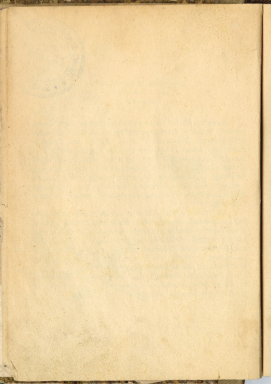




Barwny obraz życia szlacheckiego w burzliwym okresie upadku Rzeczypospolitej doskonale namalował Henryk Rzewuski (* 1791 † 1866) w „Pamiętkach Imię Pana Seweryna Soplicy”, skąd te siedem gawęd wyjmujemy. Obraz wierny: gawędy włożone w usta starego szlachcica-konfederata barskiego oddawają wychowanie, obyczaje, wady, nalogi, myśli i uczucia ówczesnego świata szlacheckiego, jego przywileje, moralność i prawodawstwo, walki, zabawy i ubiory.

Na czele postaci, które przeciwiają się przez szeregi opowiadań, kroczy książę Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku”, sławny z tysiąca anegdot po dziś dzień opowiadanych, dalej idą barszczanie: ks. Marek, Sawka, Rejtan i inni, których poznajemy nie tylko z tego co czynią i myślą, ale i z mowy wielce dosadnej, a wiernie do ducha czasu przystosowanej.

„Pamiętki Soplicy”, życiem drgające i prawdę, na długo jeszcze zostaną dokumentem obyczajowości polskiej ówczesnego wieku.





L

PAN DZIERŻANOWSKI.

Bitym charakterem na wołowej skórzeby nie opisał, jak i ile razy konfederaci barscy popisali się. Gdzie tylko armat nie było, nigdy nam Moskwa placu nie dotrzymała. A ludzi tak zgrabnych, jak naówczas, to i teraz nie widać. Między zgrabnymi jakże nie porachować pana Franciszka Dzierżanowskiego, herbu Grzymała, a pułkownika pułku gumblińskiego, u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność — ale tak i życie, bo nie był on z tych, co ich łatwo żywcem dostać. Będąc ja z nim zażyty, ile że on był wielmożnym, mógłbym jego kronikę napisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamojskich i od nich miał w dożywocie Sułowiec pod Zamościem. Miał kilku synów, którzy, dobre wychowanie wzięwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba, brat jego najstarszy był u nas marszałkiem i o nim mawiano, że nawet był podobno gdzieś królem. Ale pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał i to, jak Pan Bóg dał, a kiedy co napisał, bieszył się doczytać, czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu

tuza czerwienego nie chybił. JW. Mniasech, podczaszy W. K., a szef pułku Mirowskich, miał sobie za zabawkę szczególną widzieć go potykającego się w palcaty, olejem i kredą namalowanemi; na niego — bywało — sześciu nasadzał, a on wszystkich sześciu kredą obznaczał, a jemu nigdy nie, co mu też na zle nie wyszło, bo JW. szef poruczeństwo mu w tym pułku kupił. Ale, jak tylko konfederacja barska nastąpiła, on, podmówiwszy cały swój szwadron, kasę pułkową zabrawszy, pułkownika swego Larzaka, do którego miał aneg, dom zrabowawszy, z konfederatami się złączył. Nagradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylność, generalność zrobiła go pułkownikiem powiatu gumbińskiego, upoważniając do werbowania pułku i wszystkich oficerów forttragowania; a wkrótce pan Franc szek stanął na czele pułku wcale pięknego, który aż do rozwiązania konfederacji ciągle się popisywał. Co to były za piękne mundury! Czamarki i szarawary błę tne, żółte wyłogi; a sam pułkownik prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pistoletów, szablę u boku, a na plecach sztuciec, z którego — bywało — jak wystrzeli, dony, jak chrząszcze, padają. Nadokuczał on Moskwie! To też mówiono, że Drewicz w imieniu carowej deklarował, że kto go żywcem przyprowadzi, zostanie gubernatorem petersburskim, chociażby był prostym kozakiem; ale on tego nie uważał i tak się narażał, jakby za jego głowę halerza złamanego nikt nie dał. Demulier (Dumourier) wielce jego i jego pułk cenił, ale mu było przykro, że bez tłumacza nie mógł z nim rozmawiać. Demulier po łacinie gadał, jak jezuita, i do nas tym językiem zawsze; ale pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdać. Nadrabiał ci fantazja, bo mocno to go sromowało, że on jeden z ludzi stopniowych między nami, co po łacinie ani słówka; ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod

Tyńcem. Demulier miał nad nami komendę, nawet pan Kazimierz Puławski był jemu posłuszny. Owóż tedy wychodzi ordynans, aby nikt pod karą najcięższą nie ważył się po czapstrzyku samopas z obozu oddalać się, a to z powodu, że Moskwa okolice plondrowała, a dony odesobnionych chwytali. Ale ten ordynans nie był panu Franciszkowi po myśli, bo o półtora mili od Tyńca, w Burzymowie, mieszkała pani sędzina Sulejowska, z domu Bonerówna, pierwszego ławnika krakowskiego córka, wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo, jak wiadomo, *civis cracoviensis nobili per* — i bogata; pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie, miała sto tysięcy własnego włośku i porządków mnóstwo. Otóż pan Franciszek, poznawszy ją w Krakowie, do jej przyjaźni wdychał. Stawszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się w karczmie u żyda, że wielmożna sędzina tak blisko, niepospolitą poczuł ochotę ofertę u nóg jej złożyć, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jej strony, bo jej famlja była mu ciągle przeciwna. Raz przy kielichu, gdy panu ławnikowi oświadczał się, prosząc o wsparcie, pan Boner spoli tykował, mówiąc: „Moja córka od siebie zależy, będąc wdową — a potem panowie wojskowi żartować lubią”. I gdy na usilne naleganie konkurenta zawsze mu jedno, ni to ni owo powtarzał, tak pana Franciszka zmęczyć repliwił, że mu powiedział: „A jakci szabli mojej na łokieć nie zamienię, bom szlachcic ciłki, a nie przez pół”. Tem sobie więcej jeszcze sprawę popsuł; chociaż, gdyby się był — nie wiedzieć, jak — w barania skórę podszyl, niczemby nie wskórnił, bo famlja sędziny miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo nigdyby nie zezwoliła, ile że pana Franciszka za nałogowego kartownika trzymano. W Krakowie po całych nocach grywał, i tak ślicznie się ograł, że, gdyby mu pan Zareba nie był pożyczł trzydziu tyńców, nie miałby o czem na własną wojny

rozpoczynać. Otóż tedy pan Dzierżanowski tak pięknie wysunął się nam z obozu do Burzymowa, że oprócz jego Gumbińczyków nikt się ani spostrzegł. Aż tu przedednem usłyszeli żołnierze strzały. Jego wtuciec, ledwo nie jak harmata, hałasował; a że ci żołnierze byli z jego komendy, wiedzieli, o co rzecz, i obudzili pana regimentarza Zarębę, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie: „Otóż ten szala-wiła i biedy narobił! Obaczysz, co to będzie za kłopot. Weźże waszmość dwadzieścia koni z sobą i ratuj go, jak możesz“. — Ja w czwał z Gumbińczykami! Było cicho, ale ledwo godzinęśmy ubiegli, aż tu widzim chmurę donów. Jak hukną: „Nacieraj! Bóg z nami!“ — kozactwo w nogi, tylko pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między niemi, jak furman na wozie. — „Panie pułkowniku, jak się masz?“ — A on na to: — „Niech ci Bóg odpłaci, i wam, koledzy! Otoś mi brat! Ale mię djable spisa pocałował. Patrz!“ — W istocie ramię miał skłute i krew się sączyła. Na ziemi trzech kozaków leżało, jeden jeszcze się ruszał. — „Dobijcie tego psa, niechaj wleceć już nie kasa!“ — Tego Gumbińcom dwa razy nie trzeba było powladać. — Winszując, pułkownikowi, trzech położył. — „Oho, pójdźno, bratku, o pół mili dalej, tam czterech leży: oto ich konie; przez tę chudobę omal mnie kaduk nie spiskał. Pokazało się, że, gdy wracał późną nocą z Burzymowa do obozu, czterech donów zrobiło zasadzkę, ale, że kozak większy, niż tuz czerwieniny, wszystkich czterech położył; mógłby tedy bez szwanku do obozu powrócić. Ale zrobił mu się żal opuścić kozackie konie; zatem, dostawszy ich, powiązał je cuglami do swojego; szczęściem tylko, że broń na nowo nabił, ale już wolnym musiał stąpać krokiem ku Tyńcowi, a tak inne dony mieli czas go doścignąć. Poplątany końmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelalci wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Żeby nie był przybiegi

na ratunek, nie wiem, co by się z nim stało, i dlatego silnie mnie poлюбиł. Kiedyśmy już bezpiecznie wracali: — „Sewerynie, bratku — mówił do mnie — a cóż to będzie ze mną w obozie, żem wylaził pomimo rozkazu?” — „Pan regimentarz markotny, ale pułkownika kocha”. — A on mnie: „Mniejsza o regimentarza, bo to szlachcic, jak i ja i jak waszmość, porozumieć się łatwo, ale ten utrapiony Niemiec (u niego każdy zagraniczny człowiek był Niemcem), żeby mnie nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. Powiedzże mu, że, jak ja na nią siadę, niechże pilnuje, żebym nie zszedł, bo mu w łeb strzelę, jak psu”. — A ja jemu: „Panie pułkowniku, zaniechaj tego, bo i siebie zgubisz i sprawę oszpecisz”. — Skończyło się na mniejszem, bo generał Demuller konie zabrane odebrał, a jego na 10 dni do aresztu zaparł, co mu było i potrzebne, bo dało czas plejzer wygoić. Chciał mnie on zrobić rotmistrzem w swoim pułku, i to mi było do smaku, że i mundur ładny był i gotowe miałem zasługi; ale ludzie mnie odwiedzili, a szczególnie wielmożny Korsak, porucznik Piatyhorców, który opiekował się mną i mnie świadczył zawsze. On mi mawiał: „Żyj z Dzierżanowskim, jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz; on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi, że aż zgroza”. Już to różnie bywało, ale, że wierzył po katolicku, tom świadek, bo i szkaplerz nosił i paciierz mówił; tylko że był tęp do książki, a przytem na miejscu ustać nie mógł, nadto krótko się modlił, dlatego miano go za heretyka — ale to niesłusznie.

II.

KSIĄŻĘ RADZIWIŁŁ, PANIE KOCHANKU.

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny: więcej

czterech tysięcy szlachty nas zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danejki książę wojewoda wileński prowadził pana Michała Rejtana, brata owego sławnego Tadeusza, tak z zamożności rodu, jako i z osobistych zasług powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle wybory u nas były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi nowogrodzkiemu, że najmniejszych wpływów w sejmikach województwa nie mieli i, że dla zachowania jakiejś powagi, radzi nieradzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejtany z licznymi swojemi koligatami rejdowali w partji radziwiłłowskiej, psując JW. Niesiołowskiemu ją rozdwóić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtanów i potomka owego sławnego wojewody smoleńskiego, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie: co niemało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrow zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby tej krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego pokilkakrotnie zdrowie pito, jako przyszłego pisarza, że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkim gorzy, że z tego ciężki grzech mu będzie, a nakoniec, że niema podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszystkie te słowa tyle na nim zrobiły wrażenia, jak garść prochu, rzucona o ścianę. Gdy obywatele zjechali się w Nowogrodzku do klasztoru bernardyńskiego na porefunktury, a między nimi znajdowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale, jak zaczął pan Haraburda wyrzucić szwagrowi, to, że go ukrzywdził w wypłacie posagu siostry, to, że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć,

a nie mozolić się nad dokumentami, to, że, choć pan Michał zausznikiem nieświeskim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciółach, pan Michał porwał się do szabli; i, gdyby bernardyni nie byli wyprowadzili pana Harsburda, podczas gdy panna Michała reflektowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda nowogrodzki wielką sobie robił nadzieję, i która nieomal przyczyniła się do uczynienia twardym pana Harsburda. A to był postępek księcia wojewody wileńskiego z wielmożnym Józefatem Tryzną, strukczaszym nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół radziwiłłowskich oburzył, z czego zresztą umiała korzystać partja księcia Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z radziwiłłowskim nawet skoli-gaconego. Wszakże to Nałboki Tryznianka kiedyś w dom radziwiłłowski wniosła, a większa część funduszów klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka:

Otóż nie przyzna,
Ze pan Tryzna
Był mąż świętobliwy, i t. d.

Otóż pan strukczaszy, prócz sumy zastawnej na radziwiłłowskim Koldyczowie, nic nie posiadał; zastawa była, jak może być, najtańsza, i kto inny mógłby z niej na szerok'e wyleżeć dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał: Maciek zrobił, Maciek zjadł, a często więcej zjadł, jak zrobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sadzie pewn'e upominać się nie będę, bo, jeśli nie zjadł z nim beczki soli, to pewnie z pół antala z nim wypilem jego własnego

wina, nie rachując miodu. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się skończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda, nie potrzebowała posagu, aby się w dobrem małżeństwie usadowić — jakoż później za bardzo możnego witebszczanina Syrucla, starostę czuchłowskiego, wyzina — więc poniekąd był wymówionym nasz strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem ponędlivy. Razu jednego, w same żniwa, ksaże wojewoda wileński, nie uprzedzwszy go, właśnie, jak piorun wpadł z licznem myśliwstwem, aby spłować lasy kołdyczowskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstaroście, by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze ksaęcia, wymawiając, aby natychmiast obławę do lasu postął; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoż tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniciertpliwił. Odmówił im ludzi, ofuknął ich i miał nłby powiedzieć, wedle ich relacji, że kto w czasie żniwa poluje, temu platej klepki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacja zaczęła biec po szczeblach dworskich, a ciągle rosnać (ile że pan Mikuć, sekretarz ksaęcia, miał żal do pana Tryzny z powodu, iż, konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbutem, więc, dogadując zemście, udał go przed ksaćciem). Ksaże tak mocno to uczuł, że, jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka Zdrowaś Maria mowa mu była odjęta, a potem jak zaczął ryczeć, to się lasy kołdyczowskie zatrzęsły; a w niepohamowanym popędzie kazał natychmiast odebrać posłuszeństwo gromady panu Tryźnie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, nawet z nieludźkością, bo, aż lekając się o skórę, pan Tryzna uciekł z tem tylko, co miał na sobie. To jeszcze szczęście, że wielmożna strukczaszyzna z córką były wyjechały na odpust do Pińska, uczcić błogosławionego Bobole; zgoda, że pie-

choć gospodarz Tryzna umknął i aż w okolicy Raców się oparł, a stamtąd, dostawszy podwoje, udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew po księcia o krytąją kontraktu i ekspulsją.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem atentować od księcia i przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpocścić, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo wiedziałem dobrze, że nasza sprawa była brzydka. Ale cóż? Czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukczaszy nie miał mi tego za złe i, gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie szaczczyć swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić, bo, przytomny będąc konferencji, poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim, chorążym starodubskim, a jenerałnym księcia plenipotentem, że nie wiele mam ufności w prawności naszej: jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: „Waćpana rzecz atentować i bronić sprawy księcia, a nie jej przyganić, i za to jesteś płatny“. — A tem mnie zamknął gębc. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do złemstwa, a nie do grodu, bo gród nowogródzki był jurysdykcją wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sędził, a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w złemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z grodu, gdyż do niego poszły powodowe; a nakoniec sprawa ekspulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do jurysdykcji grodzkiej należy; i lubom stawał na tem, że już została z naszej strony podana illacja do trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to, sąd grodzki kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukczaszy zyskał na księciu Radziwiłł kon-

demnatę. Ale cóż? — cieszył się kodemnata, nieborak, na bruku osadzony, a książę, jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnej kadencji, widząc, że niema sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu *forum*, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uziłowski, sędzia grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryzn'na, macocha strukozasznego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył, że, ponieważ książę wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego on nie wypiera się zaszczytu koligacji, sobie zarzuconej, więc sądzić nie będzie — i ustąpił z swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w non sunt i kadencja spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dlatego uchylili się, że sędzina chce być na św. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią w imieniu księcia, ale Bóg świadek, że to była obmowa.

Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książę wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał, tem więcej, że chciał utrzymać p. Michała Rejtana, co był radziwiłłowskim dusza i ciałem. Zjechał książę w trzydziści pojszdów do klasztoru bernardyńskiego, którego był syndykiem, i cakow'ity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których, jak mogli, cisneli się zakonnicy. Sam książę stał w cel^u gwardjana, jako najobszerniejszej; ale w nocy kotowi w niej ledwo przecisnąć się można było, bo, oprócz ks^{ci}ęcia, pokotem leżeli: pan Michał Rejtan, Bukowski, szatny, ojciec Idzy, co był wielkim egzorcystą (ś że książę złych duchów się obawiał, wymówił so-

bie, aby w celi blisko niego spał), i do tego Nepta, ogromna wylicia, faworytka księcia. Opowiadał nam pan Michał Rejtan, że przez dziesięć dni, co trwał sejmik, oka nie zmrużył: takie okropne było chrapanie księcia, ojca Idzego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechota przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkanaście fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codzień dla księcia dwa woły rżnięto. Książe dwa razy na dzień obiadował: raz ze szlachtą na dziedzińcu z kotła zajaadał krupnik i flaki, a potem w refektarzu z magnatami i obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta taki na to krzyczała), a sam nieśmiało otwarcie przed księciem z tem się odezwać, namówił ojca Idzego (z którym książe, w łóżku leżąc, przed zaśnięciem codzień wypytywał o czyśocu, jakie tam są męki i jak z nich najskuteczniej się wywinać, co mu ojciec Idzy, jak umiał, tłumaczył), aby mu przy pomysłnej okoliczności bąknął, by dał się przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego bernardyn, i to, co napiszę, jest to co do słowa, co mnie p. Bukowski, szatny, opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książe odezwał się:

— Ojciec Idzy, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Co książe rozkaże?

— Czy nieśłyszysz waszeć, jak moja Nepta warczy? Zapewne n'ebośczyk Wołkowi, mnie n'awiedza. — Na co pan Michał Rejtan, n'oznawazy się? —

— Co też się n'awiedza? Waszeć, n'awiedza? —

Ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma być p. Wołodkowiez?

— Młeczalbyś, panie kochanku! Że umiesz grać w francuskie karty, to już siebie masz za mądrika. Ja nie do waści mówię, ale do ojca Idzego. Ojciec Idzy, wszak prawda, że dusze z czyśćca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić? Żeby temu przeczyć, trzeba być księdzem biskupem Massalskim, albo Marcinem Lutrem.

— Tak jest, JO. książę! Bywa to, bywa.

— Słyszysz, panie Michale? Aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. Ojciec Idzy, zawsze nieboszczyk Wołodkowiez stoi mi w oczach. Co to był za przyjaciel! Żebym go mógł wskrzesić, oddałbym wszystko, co mam, a sam do was na braciarskabył wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia pana, najechałem był po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. P. Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensyj i kazał mi oświadczyć, że, jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk pan był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem mlecznikiem litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił. Co tu było robić? — A mój Wołodkowiez dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza (tu słyszał byto, jak książę szlochał). I czy to raz za mnie się poawteeli? — Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że niedługo będziem z sobą, powiedział: „Książę Karolu, ty dłużej ode mnie żyć będziesz; jak mnie przeżyjesz, pamiętaj o mojej duszy“. Otóż tedy partja, którą ten łotr w infule, ten hipokryta Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowieza, a w trzy godziny potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale za późno. Przysięgałem pomścić jego krew na głowie niegodziwego biskupa

i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu sakre zdjąć na pierwszej sośnie za miastem; a potem pojechałbym do Rzymu, przeprosić Ojca Świętego i ofiarować mu pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Już szedłem ku Wilnowi, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem i wyraźnie mi powiedział, że, jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzej na tamtym świecie. Ojciec Idzy, wszak prawda, że on dotąd w czyśćcu?

— A któż to przeniknie sądy Boże, książę panie? I sprawiedliwość i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że, jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odasyła do nieba, albo do czyśćca, albo do piekła — uchwaj nas od tego, jego miłosierdzie!

— Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi, jak on, katolikami. On jeszcze za życia nieboszczyka pana trzech popów w Szuszczyźnie do unji nawrócił, a czwarty, uparty, pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacja słucko-toruńska, by ją bies pokasał, przywiłaje wytargowała dla dysydentów, za które ja, jako pierwszy senator prowincji litewskiej, Panu Bogu nie odpowiem, bo z bronią w ręku siedm lat temu bluźnierstwem się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobano, nie dał nam szczęścia. To, co ja, ojciec Idzy, za spoczynek Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło, aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy, z dżumy poległe, własnymi rękami na jego intencję, a rocznice jego śmierci suszę. Wiedziałem domniłkanom wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwii, żałob, lamp, to tego i pan Michał Rejtan, ów wielki buchmistrz, nie policzy! A jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak tego zna, że jak tylko się zbliży, odzywa się do

niego, jak na grubą zwierzynę, bo jej matkę od niego dostałem w dzień moich imienin. Ojciec Idzy, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję.

— Niech Bóg odplaci waszej książęcej mości jego wspaniałość dla nas; za przyczyną Najświętszej Panny i św. Franciszka każdy dar jest Panu Bogu miły; ale im większa ofiara, tem skuteczniejsza. Niech książę pan zrobi na intencję nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu; na przykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolniasz duszę przyjaciela.

— Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantenbrynga, co całe życie u mnie za łada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charelica Wistrówka zdechła z łaski Grzesia, pałarza; kazałem go być zabić w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było go ze skóry obedrzeć. A ksiądz Kantenbryng jak mi zaczął prawić antyfony z ojców świętych, a straszyć, a prosić, a kruszyć — a djabli im nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog — to, choć powiedziałem: „Nie odpuszczę, jakem Radziwiłł“, tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze zlażalem księdza Kantenbrynga; on był rad, żeby mnie we własnym domu bezkarnie rozbiłali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują, jak jezuity? Tylko tego przed księdzem Kantenbryngiem nie papłaj: ale szczęście, że u mnie furdyga pasta i na nikogo się nie gniewam.

— Jabył się odezwał z czemś przed waszą książęcą mością, ale nie śmiem.

— Mów śmiało, mów śmiało, ojciec Idzy; waszak to na swoim dziedzińcu i włory biją, a ja u was w gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać — a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić.

— Kiedy mnie książę pan pozwala tyle śmiałości, to niech wasza książęca moc sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził?

— Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził. Mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapałem, chociaż mnie ta mała wielkopolska, ten Kaszuba Sułkowski, nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim; ale podrapie ja jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do waszeczki, ojcze Idzy, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny, jak dziecko, panie kochanku. Książę Kantienbryng ciągle mi z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię. A pan Leon Borowski mało mi figlów naplatał? A pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? A pan filozof, co tu śpi, Michał Rejtan, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach i bobrów wyłowił w Łachwie? A ja się nie odzywam, tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złodeci nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzy, wystrzeliliś, aleś spudłował. Słuchaj, bernachu! Tobie się podobał mój pas, com go miał weso-
raja na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystji katedralnej niema; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (rozumie się w Litwie), to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencję Wołodkowicza.

— Zgoda, książę panie! Pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencję nieboszczyka; tylko boje się odezwąć, bo nuż książę pan się obrazi?

— Mów śmiało, będę milczał, jakem Radziwiłł.

— Kiedy mnie książę pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało, fury z jego spichrza idą do klasztoru, a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo z głoduby umarł, a to dlatego, że książę pan wy-

pedzić go kazał z zastawy i prawie w jednej chwili do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałek chleba nie ma pan strukczaszy Tryzna.

Tu mu przerwał książe:

— Co ty się wtrącasz, kliecho, w nie swoja rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swoim postawię. On, okryty mojem dobrodziejstwem, on, co prawie darmo Koldyczów trzymał, odmówił mi ludzi na oblawę, sług moich z błotem zmieszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie.

— Już on poszedł z torbą, książe panie. Ale niech wasza książecka mość przypomni sobie, że co dzień mówisz pacierz, a tam stoi: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

— Otóż ja odtąd wole pacierza nie mówić, a taki nie odpuszcza.

— Ale książe...

— Cicho mnie zaraz! Poszedłbyś precz, bernachu! Nie wędź mi głowy!

Tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — nagle odezwał się książe.

— I ja go chwale! To ja, książe panie, wychodzę na rozkaz waszej książeckiej mości; a to trepki moje, co, z przeproszeniem jego uszów, troszkę hałasu narobiły.

— Proszę waszceci, panie kochanku, nie odchodzić z celi, śpij ze mną; bo, jak do mnie przyjdzie Włodkowiec, bez ciebie, mój książe, zachoruje z żalu. Ja z tym heretykiem Michałem Rejtanem, co z upiórów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy, a Bukowski śpi, jak zabity. Kładź się, ojcze Idzy, i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniej Tryzna upokorzył? Ale taki z tego nie będzie.

Potem wedle relacji pana Bukowskiego nastąpiła

cichość, a zaraz potem zwykły koncert księcia, ojca Idzega i Nepty. Ale p. Bukowski, co znał księcia napamięć, a dobrze życzył p. strukczaszemu, i p. Michał Rejtan, już mieli dla niego dobrą nadzieję, tylko szło o to, aby p. Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił, co niełatwo było; bo, choć podupadły, znał siebie być magnatów koligatem i do naginania się nie był skłonny.

Ale jakoś dobrze się nakartowało, bo nazajutrz po tej rozmowie, o której pana Tryznę pan Michał Rejtan i podobno sam ojciec Idzy uprzedził, kiedy zagał sejmik JW. Rduktowski (bo JW. Niezabitowski, podkomorzy, będąc zapozwanym *de mado gesto officio* przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), po zagałeniu zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa nowogrodzkiego do obierania marszałka sejmiku, po całym kościele huknęły głosy:

— JO. księcia wojewodę wleńskiego prosimy na marszałka!

— Zgoda! Zgoda! — zaczęła krzyczeć szlachta. Aż tu pan Kazimierz Haraburda, przybliżywszy się do koła:

— Niema zgody! Lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić się moim głosem do zaszczycenia województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JO. książę wojewoda, ale sumiennie skłonność winną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie, że obywatel, pod kondemnata będący, żadnego urzędu sprawować nie może.

Na to my wszyscy za przykładem pana Rejtana dobyliśmy szabel i byłibyśmy w puch rozbili partję wojewody nowogrodzkiego, ale pan Jerzy Białopietrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochować szable, i żeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać:

— Prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnate, jaką uzyskał na księciu wojewodzie!

Na to on:

— Ja nie otrzymałem kondemnaty i tegom nigdy nie mówił; ale w. Tryzna, nasz strukczaszy, co w tem kole zasiada, otrzymał ją w grodzie.

Pan Michał Rejtan, rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy:

— Jeżeli kondemnata do w. pana należy, złóż na nią ustępstwo od w. Tryzny, a jeżeli tego nie masz, choć na starość młóć się naucz!

— Waćpan sam młóć, kiedy ci język nie świerdzi, a nie ucz rozumu tych, co i w. panu ze swego udzielićby mogli. Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby w. chorały raczył od p. Tryzny zażądać, aby złożył kondemnate, jaką ma na księciu.

Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć, że wniesienie pana Haraburdy nieprawne, bo pan Tryzna sam wie, co jemu należy, i o swoje upomnieć się potrafi. — Książę pomiędzy nami stał, mocno poruszony, i wesa do góry nakręcał, aż tu w. Tryzna, który, jako strukczaszy, w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa:

— Mamci wprowadzić kondemnate na JO. księcia wojewodzie wileńskim i tu onę składam; krwawo czuje się być uciśnionym, ale jako obywatel, obowiązany jestem moje prywatne uczucia poświęcić dobru publicznemu; a przekonany będąc, że nie nie może być lepszem dla naszego województwa, jak poruczyć przewodztwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi, na boku zostawiając moją krzywdę i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych przewłok dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituje.

Książę wojewoda przybliżył się do koła i tak

był rozczulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko:

— Chociaż żal czuje do w. strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdziękować.

Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki:

— Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna, strukczaszy!

Książę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc salwował sesję do ósmej zrana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorego Rdultowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta się zebrała. Był i p. strukczaszy i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książę powiedział:

— Ja pana Józefata kocham; to krew, nie woda, panie kochanku; mego pradziada Tryznianka rodzi. Oddaje Kołdyczów natychmiast, a pretensje, jakie mieć może za irytacją kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług ofukał i kazał mi powiedzieć, że mnie piętej klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi i to natychmiast.

Napróżno się tłumaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali: musiał pan Tryzna dobyć szabli i bić się zaczął w naszej przytomności. Panu Tryzni nie pękła klinga, tak silnie uderzył po niej książę wojewoda, a pan sędzia pana Tryznę, rozbrojonego, złożył swoją szablą. Książę odczwał się:

— Mam zupełną satysfakcję — i ucałował Tryznę. Przeglądał szablę i powiedział:

— To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem; przyznaj, panie Józefie, że umiem się składać.

Potem dawaj pić na zgodę. Książę był w przeświadczeniu humorze.

— Panie Michale, bądź spokojny o pisarzję ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partję wojewody nowogrodzkiego rozpedzę.

Książę i pan Tryzna zapisałi się na kompromis u pana Białopiotrowicza, iż odtąd tylko sejmikiem byli zajęci.

Szlachta, ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było, jak między sobą rozprawiali:

— A co, nasz książę, czy nie tęgi rębacz? Klingę, jak masło, przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina. Ale kto naszemu księciu da radę? Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił, i — bywało — zawsze potem powtarzał, prześladując, że, gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec bernardynów, gdzie, lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter reperta* piliśmy. Już tam była mieszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki byli brat za brat. Książę, napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdurił ją z niego, na swoją głowę ją włożył, a podał mu swoją aksamitną. Na to hasło zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić, ale tak, że co moment każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem książę, dobrze pijany, zaczął się rozbiierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał złoty pas, mówiąc:

— Daruję ci, durniu.

Drugiemu kontusz:

— Masz, świnię!

Temu spinkę brylantową:

— Trzymaj, ośle!

A innemu żupan:

— Weź, kpie! — tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny szkaplerz; i tak wsiadł na wóz, na którym była kufa, napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książę czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtana na pisarzi utrzymać, a nie dać Radziwilla na pastwę nieprzyjaciół:

— Panie kochanku — mówił — widzicie ten mój szkaplerz, ja go w sukcesji noszę po moich antenatach. Lizdejko, mój protoplasta, nosił go wprzód jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Śierotka z nim do Betleemu chodził. Szkaplerz jest wielki, bo w nim zaszyta jest unja Litwy z Koroną. Ja kocham naszych braci koroniarzów, panie kochanku, ale niema, jak nasza Litwa. Ja i w Koronie mam kawałek ziemi, ale djabełby w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza, niż o dojeżdżacza. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórkę chodzą. U koroniarzów susły to gruba zwierzyna. To, panie, jak zaczął mnie przedładować książę, biskup wileński, szwagier wojewody nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejtan, ale pan Kazimierz Harsburda dekreta nam pisał, to już z rozpaczyci chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano, zato, że piękne wiersze pisze. Już byłem osiadł na Rusi, ale razu jednego, kiedyś się zaczął modlić Panu Jezusowi w Boremlu. On się do mnie odezwał: „Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nie nie wakórasz, tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patriæ*, to wielka filozofja u szlachty tutejszej, nie tak, jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka), co od dziadów i pradziadów każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę i kła-

niaj się szlachcie nowogrodzkiej ode mnie". — A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: Panie! A jak ja powrócę na Litwę, kiedy mnie twój biskup przesładowuje! — A on mnie: „To nie mój biskup, to hultaj; ale on naprzeciw ciebie nie nie dokaże. Wracaj, Radziwille, na Litwę, a niech mnie... jeśli ty nie będziesz Radziwillem po dawnemu, a on, jak był kpem, tak i będzie kpem". — Otóż, panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana i Boga mego, do was wróciłem, i Pan Bóg nagrodił moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem o Jego słowach; a moich wierzonych odstąpiłem księdzu Naruszczyńcowi, bo on krew i czeladkę radziwiłłowską i za moje wierze dostał biskupstwo smoleńskie.

A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić a nadsztawiać uszy i rozdziawiać gęby, ba nie tylko nasza, ale i z partji przeciwniej, nawet zaśc'anki, co samej Woroszy dotykają — można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensa senatorów nowogrodzkich.

Do dziesiątej w nocy tłumy asystowały księciu, pijąc, tańcząc po ulicach i śpiewając, że przyjaciele wojewody nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalamo. Ale wszystko odbyło się porządnie i nikt gwałtu n'e doświadczył. Odprowadziliśmy księcia, zawsze na kufie, ale już próżnej, do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał, a stanowiący przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdewery i koszulę, a kazał się zlać woda. Czem wytrzeźwiwszy się, poszedł do celi, gdzie, podkurka zjadłszy i z ołcem Idzym paclerze odmówiwszy, spać się położył. pamiętny, że na ósmą zrana trzeba mu być w kościele.

O samej ósmej nazajutrz zebraliśmy się do sejmikowania, a każąc, zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagalił sejmik temi słowy:

— JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mości panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objawiały przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić: dwóch kandydatów jest wam podanych: jeden — pan Michał Rejtan, szambelan JK. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale litewskim i szambelan JK. Mości; drugi — pan Kazimierz Haraburda, starosta wiladymowski. Zatem, panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z nich życzyście sobie na pisarza ziemskiego.

— Pana Michała Rejtana prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicz, Siemiradscy, Czczoty i my wszyscy.

— Zgoda! Zgoda! — odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — Pana Rejtana prosimy!

— Niema zgody! — krzyknęli Jeśmiany, Szuszkowie, Kobylińscy.

— Pana Haraburdę prosimy!

Ale głosy były nierównie słabsze. Nikt z naszych szabl nie dobył, bo książę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy, książę powiedział:

Bywał zwyczaj w naszym województwie: unanimitate wszystko się robiło, ale nemihi vox deneganda: zatem zapraszam panów braci do wotowania.

Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partji, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył, iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła i wyjechał na wieś, nie bez żalu na JW. wojewodę nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wojewoda instrumentował go sędzią grodzkim — lepszy rydz, jak nie — i tem

go ukoń, a pan Michał Rejtan został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik, ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku: więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie kałęcia wojewody, poszło pod sądy kompromisarskie; a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części sędziarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator województwa.

III.

KSIĄDZ MAREK.

Co też się dzieje na świecie! Już i cierpliwości nie stać patrzeć na czyny ludzkie, a słyszeć ich gadania. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla Jego praw! Jakby Jego nauka była tylko dowiec-pnym wymysłem, bynajmniej nie obowiązującym. Oj, rozumni ludzie, rozumni ludzie! Ciężko Panu Bogu odpowiecie, że tak świętne dary, coście otrzymali z Jego łaski, na przeciw Niemu obracacie, gorząc tyle półgłówków, którzy przez was się bałamucą tylko, a najczęściej z obawy, by za głupców nie uchodzić, wolą potakiwać waszej lekkomyślności, niż się trzymać tego, czego ich wiara nauczyła, i co ludzie istotnie wielcy i rozumni miłowali, że wszystko zań gotowi byli poświęcać.

Toć to szaleńców, co by istotności Bogu zaprzeczali, niewiele; ale mnóstwo takich między tymi niby mędrkami, co, lubo dowodzą Jego bytu, tak Mu działalność i potęgę okrawują, że na jedno wychodzi, jakby mówili, iż Jego niema.

Wedle nich cuda są urojenia elemnoty. Bóg.

raz porządek ustanowiwszy, tego nie odmieni; módl się sto razy na dzień, czego swoim rozumem i pracą nie dostaniesz, tego nie wymodlisz. Święci to byli poczciwi ludzie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wyobrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznali, ale te ich dzieje przed rozsądkiem zniknąć muszą. Obrządki, sakramenta, są to mądre i zbawienne ustawy dla gminy, które człowiek świątliwy szanować powinien — i nic więcej! Tak płota o rządach Boga, jakby przy Nim była rada nieustająca, w której oni zasiadali.

Słyszałem ja to nieraz, ale na mnie żadnego wrażenia nie robiło. Człowiek poczciwy, a do tego szlachcic, czyżby już tyle dał się owładać, bym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle podań, tylu mądrych a cudnych mężów, tyle cnót nadzwyczajnych, tyle niewinnej krwi na świecie utwierdziło? Otobym zaśłużył, by mnie do czubków zaparto.

W czasie konfederacji barskiej pan August Sieniński, wojewódzic podlaski, co był wiernym ojczyźnie obywatelem, a naszym kolegą, ale któremu podróże po zagranicznych krajach oczuciły rozum, że bez potrzeby wszystko nim świdrzył — bywało — po swojemu chce nam wszystko tłumaczyć; nieraz uszy sobie zatykamy, tak nam dokuczy. Czasem też i obrywał za swoje. Ofuknął go porządnie za takowe gadanie J.W. Krasiński, marszałek jeneralnej konfederacji:

— A co to w. p. za prorok, — powiedział mu raz — abyś nowej wiary nauczał? My się naszej trzymamy i za nią bijemy, a jeśli w. pan. jej nie rad, to wracaj do Poniatowskiego; tam znajdziesz dość farmazonów i przechrztów, co ci potakiwać będą.

A i ów pan Sieniński też te swoje niedorzeczności więcej, aby tem za rozsądnego uchodził, niż z wewnętrznego przeświadczenia; o tem się przekonałem. On to zaczepiał księdza Marka, który go

z wielką cierpliwością zbliał, ale nakoniec i cierpliwości mu nie stało, zawsze jedno i jedno odpierać — ile w każdej rzeczy świadomemu trudna sprawa wdać się w certament z takim, który tylko coś nachwytał. Razu jednego wyzwał na dysputę wedle swego zwyczaju i dowodził mu, że tylko w Boga wierzy, a więcej w nic. Ksiądz Marek tłumaczył mu z początku, że tego nie dość, ale, widząc go upartym, zapytał raptem, czy dawno się spowiadał? Coś mu na to odpowiedział wojewodzie, ni siak ni tak, a ksiądz Marek jemu:

— Jutro rano przyjdiesz do kościoła, ja w. pana wypowiadam, a teraz idź do siebie, aby się na jutro przygotować; to lepiej, niż fatalaszkami trąbić w uszy tym, co te rzeczy lepiej od w. pana rozumieja.

Zmieszał się wojewodzie; my byliśmy ciekawi, co z tego będzie. Poszliśmy zrana do kościoła i zastaliśmy go przy konfesjonale, spowiadającym się ks. Markowi. Nie spierał się z nim, ale bił się w piersi, a jaki z niego zdawał się bezbożnik! Czy to wszystkiemu wierzyć, co kto sobie mówi? Dobrze, że trafił na świętego męża, co go na drogę zwrócił, ale czy jest roztropnie, aby dla dogodzenia językowi żartować około zhawienia? Co do mnie, gdyby nie tyle innych gruntownych pobudek, samo patrzanie na to, co zrobił ksiądz Marek, byłoby mnie przekonało, że są ludzie, którym Bóg używa siły nadzwyczajnej i cuda robią. To, co opisywać będę, wszystkim konfederatom barskim było wiadomem, i teraz wiele jest jeszcze takich, co to słyszeli od ojców swoich, naczynych świadków. Już w tem był cudownym mężem, że najdumniejszych panów i najburzliwszą szlachtę tak był rada swoją składował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba, gdzie go nie było, tam się jednoś przerywała; a co dziwniejsza, że wszystkie w wytrwałości utrzymywał, bynajmniej płonnych nadziei

nie robiąc. Oważem sam słyshałem, jak mawiał, że Pan Bóg nie da nam szczęścia, że wielkie klęski spadną na ojczyznę, ale że trzeba swoją powinność zrobić. — Nie wielka to rzecz — dodawał — iść za sprawą pomyślną; któż z wiatrem nie poplynie? Ale kto się poświęca za sprawę świętą, choć nieszczęśliwą, tego Pan Bóg kocha, a usiłowania nie przepadną, bo On je pobłogosławi.

— Człowiecze — kazał on po odebraniu wiadomości o klęsce stołowieckiej, kiedy wielu naszych już stygnąć zaczęło — człowiecze, bez ciebie Pan Bóg cię stworzył, a bez ciebie nie zbawi. Toż samo z ojczyzną. A wiele to świętych, co żywot swój na pokucie trawili i prócz Boga nic znać nie chcieli, a spokoju znaleźć nie mogli i oschłości wewnętrznej Bóg nieczem nie raczył odwiliąć? A czyż oni wtedy mówili: „Niema ratunku, wszelka nasza praca daremna; wolimy się z czartem pogodzić”. Nie, nie, bracia moi! Jeszcze w’ęcej podejmowali tych nanowóz bezowocnych trudów — i Pan Bóg w porze przez siebie zamierzonej sow’cie wszystko nagrodził. Toż i z ojczyzną! Niech jej syny dla niej znoszą przeciwności, niech pracują a pracują, nie zrażając się, że pociechy Bóg nie daje, aby s’ę z czartem nie godzili; Pan Bóg znajdzie czas na wszystko. A powiedzieć, że ofiara czysta, za ojczyznę zrobiona, u Niego nie ma wagi, jest to równe bluźnierstwo, jakby twierdzić, że Jego niema.

I takimi słowami rozżarzył gasnący już związek.

Razu jednego miał kazanie, nie pamiętam w jakiej okoliczności, w którym mówił:

— Ojcowie, ledwo kesa sobie nie odejmujecie, aby dzieciom i wnukom dostatków rozszerzać; ani śmiem wam to uganiać, bo i bogactwo jest darem Bożym; byle uczciwie, zbierajcie dla potomków, a godziwe w tym celu prace Bóg pobłogosławi. Miejcie

podobna cierpliwość i w ważniejszych rzeczach. Cieszyście się nadzieją, że dzieci i wnuki dopiero korzystać będą z usilności waszych; cieszyć się więc, że, choć trudy i kleski znosicie teraz, wasi potomkowie będą wolnymi; bo bez ojczyzny, bez wolności, na co imby się przydały dostatki? Nie jest bogatym, kto posiada to, co może być wydartem lada chwila prze-mocą.

Staliśmy obozem pod Jedrychowem, gdzie mieszkał JW. Ankiewicz, kasztelan sandocki, pan godny i nam sprzyjający. Pan Bóg nie pobłogosławił go w syn'e: on w jego ślady nie wstępował; ale pokój umarłym. Otóż ten zasłużony senator starszysze nasze zaprosił na wielki obiad do swojego zamku, a dla nas niższych na dziedzińcu były zastawione stoły, bo wazystk'im nie było sposobu pomieścić się razem. Cieszyliśmy się w Bogu; a w sali za stołem siedział między panami ks. Marek, o którym wiedział JW. kasztelan, co to był za człowiek. Społniano rozmaite zdrowia wodzów dobrej sprawy; po każdym zdrowiu w'watówki służyć się dawały, aż ksiądz Marek, powstawszy a nalawszy kielich wina: — JJ. i WW. panowie — odezwał się — pozwólcie miłe wnieść jedno zdrowie — i zaprosił ich z sobą na ganek. Tam, podniósłszy oczy do góry, chwil kilka zostawał, jakby w jakimś zachwyceniu, a potem:

— „Chwała wieczna Przenajświętszej Trójcy” — i, społniwszy kielich, przeżegnał nim chmurkę, nad nami wiszącą.

Natychmiast jak zaczęło błyskać a grzmieć, raz po raz siedem razy piorun uderzył, że aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosić go, aby dał pokój, a wyznając, iż się mocno przelekli. Ksiądz Marek na to:

— Nie bójcie się, moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze.

I, przeżegnawszy chmurkę drewnianym krzy-

tem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, — ona wnet się rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda. To się działo w oczach naszych.

A pod Rzeszowem jeszcze lepiej mu się udało. Nasz obóz przytykał do Rozwadowa. Moskwa pokusiła się nas z niego wyparować i była o to przeprawa, ale my ją porządnie wythukli, że aż ze wstydem musiała się cofać do swoich szanieców pod Przeworskiem; więcej stu ludzi zabraliśmy w niewolę, nie licząc, cośmy nabili. Ksiądz Marek na koniu, a zamiast szabli krzyż w rękę trzymając, pokaż potyczka trwała, wszędzie się znajdował i kilka razy był dościami obskoczony. On był dla nich łakoma zdobyczą, gdyż wiedzieli, co to było z niego, że on dla nas lepszy, niż sto armat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, ledwo nie sam p. Kazimierz Pułaski, uciekali przed nim, a każdy inną stroną, nie wiem jeszcze, za którym przedziejby poszli w pogodę: jeno że, jako lud niewierny, nie znali się na jego światobliwości, ale myśleli, że on sobie czarta shodłował, a ten za jego rozkazem sprawiał te wielkie dziwy, na które patrzali. Obskoczyli go, my też dzielnie jego bronili, a on nam:

— Nie uważajcie na mnie, moje dzieci, a swoje róbcie; oni mnie rady dziś nie dadzą.

My go posłuchali, a jak takiego nie słuchać? — I to nam posłużyło, bo wielu z nich za nim się cietrzewiło, a my ich dusili, jak swoich. Co natra na księdza, by go na spisy porwać, to spisy powietrze koła mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha, że dońce, że złości aż od rozumu odchodzą; a na końcu, widząc, że lubo bezbronny, ani żelazo, ani obów jemu nie szkodzi, przecież nic złego imże samym się nie robi, dawaj próbować rękoma go porwać, ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam, jako zwyczajnie kapłan, po łacinie siedział i zresztą nie ucie-

kał. Ale co który się przybliży, to, jak go swoim krzyżem przeżegna, kozak na ziemię bęc, jak długi, a koń jego w czwał, nie nazad, ale do naszych — i tak kilkunastu położył, że każdy, lubo bez szwanku wstał, ale utracił konia. Dopiero kozacy zaczęli co prędzej uciekać do swoich i krzyczeć, żegnając się po swojemu: „Czort Lachów broni!“ — a my za nimi, że, gdyby nie ich przeklęte armaty, obóz byłby się nam dostał.

Ale nie na tem koniec. My ze sławą i zdobyczą wrócili do naszych. Pan Kazimierz Puławski kazał otrąbić capstrzyk, po którym już nikomu nie było wolno wyjść z obozu, i sam poszedł do swojego namiotu z panem Goreckim, co, jako oboźny, był od niego nieodstępny. Zabierał się do wczasu, aż ks. Marek, brewjarsz swój przy ognisku obozowym odprawwszy, poszedł do namiotu naszego wodza, a zastałszy go już leżącego:

— Przepraszam pana starostę dobrodzieja, że tak późno przychodzę mu dokuczać, ale go mam o wielką łaskę prosić.

— Mów księżę. Co mamy i co mojem, jest na twoje rozkazy.

— Proszę mnie pozwolić wyjść z obozu.

— A dokąd myślisz się udać?

— Zaraz trzeba mnie być w obozie moskiewskim.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, czy żartujesz, księżę?! A jakiż tam mieć możesz interes?

— Wielki interes, panie starosto, bo Pan Bóg mnie tam iść kazał, ale ani z klasztoru bez woli przeora, ani z obozu bez woli naczelnika wychodzić nie pozwala. Pan Bóg dopiero mnie objawił, że we wczorajszej potyczce jeden ich pułkownik śmiertelną ranę odebrał i przededniem skończy. On z nagłej wiary, a chociaż między nimi się rozpaskudził, Bóg łaskawy

pozwoił mu pragnąć księdza. Trzeba mi go na śmierć dysponować.

— Mój księże, ty lepiej znasz swoją rzecz, niż ja, ale pozwól sobie tylko powiedzieć, że blisko trzech mil do obozu; jeśli ma przededniem umrzeć, byś i jak leciał, w porę nie trafisz, trupowi nie pomożesz, a wpadniesz w ręce, co ciebie umęczą; a jak moi spostrzegą, że ciebie niema, to ja rady nie dam. Czarł porwij Moskala, a wolisz się wyspać.

— A nie godził się tak mówić, panie starosto. Pan Jezus dał się umęczyć za tych łotrów, jak i za nas. A że czasu mało, to pokój dobry. Kiedy Bóg każe mnie tam iść ze sobą, poradzi, bym w porę trafił; a ja dlatego jutro będę miał mszę świętą w naszym obozie.

— Ale czy tylko powrócisz?

— Na którą godzinę pan starosta każesz wrócić — wrócę. A kiedym to ja panu był nieposłuszny?

— Kiedy tak, każę ci, księże, przed ósmą zrana powrót twój mnie zameldować. Ruszaj więc z Bogiem, dokąd On ciebie poprowadzi, ale pamiętaj, że mnie w największej niespokojności zostawiasz. Weźże przynajmniej jakiego mojego konia, bo z twoim podjezdkiem nie daleko zajedziesz.

— Ja piechotą trafię, byle pan mnie kazał przeprowadzić za przednie czaty, aby mnie nikt nie zatrzymał; bo tu tylko pan masz prawo rozkazy dawać.

— Panie Januszu. — obrócił się pan Puławski do pana Goreckiego, przytomnego tej rozmowie — każ księdza Marka przeprowadzić poza obóz. — Ale pan Janusz, co na nikogo nie nie zdawał, sam go poprowadził, by przytem jeszcze się przekonać, czy straż swojej powinności dopełnia. A ksiądz Marek, ostatniego sztyldwacha przeszedłszy, pożegnał godnego przewodnika i, że było ciemno, jak w worku, natychmiast zniknął z przed jego oczów.

Jak się on tam dostał, to tylko jemu i Panu Bo-

gu wiadomo, dość, że, chociaż w obozie nieprzyjacielskim były strażę, przychodzący nawiedzać umierającego pułkownika, z wielkiem podziwieniem zastali księdza przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i skrucą; a pomimowolnem uszanowaniem przejęci, stali przy wnięściu namiotu, aby im nie przeszkadzać. Tak ksiądz Marek, wedle woli Pana Boga, którego z sobą przyniósł, ocalił choremu duszę, opatrzył go sakramentami i nie opuścił, pokład ducha nie oddał, co rychło nastąpiło po przyjęciu Najświętszej Tajemnicy. Dopiero Moskale, co namiot otaczali, do niego — bo go poznano, ile że tam byli tacy, co go dnia wczorajszego widzieli na koniu, tacy nawet, których przeżegnaniem z koni pozasadzał, a prócz tego imię księdza Marka było głośnie między nimi:

— A to ty, co czartów na nas zwabiasz? Obaczym, czy oni ciebie z rąk naszych wyrwą! I zbliża się do niego, z wielką jednak obawą; ale, że nie zniknął im z oczu, a żadnemu nie złego się nie stawało, ośmielili się i wzięli go w swoje ręce. Oto była pociecha, że im się udało!

— Przecież — mówili — nie zawsze czart tobie dopisuje. Wielki Bóg ruski starszy czynem. W Sybirze dowiesz się, jaka nagroda tym, co kule i spisy carowej zamawiają. — A radość była w całym obozie, że takiego pojмали bratka. Wyprawiono go zaraz do Lwowa, gdzie był ksiązę Repnin, związali mu nogi i ręce i posadzili na wozie między dwoma sotnikami dońskimi, jakich znaleźli najdoświadczeńszych, a pięćdziesiąt koni otaczało wóz, żeby go nikt widzieć nie mógł i, by go po drodze nie odbito, choć między Lwowem a Przeworskiem żadnego z naszych nie było — ale strach ma wielkie oczy. Jada więc. Ksiądz Marek nie był rad rozmawiać z oprawcami, a oni ciągle gabali go; że była gadka między Moskalami, że, jak się zamysli, z czartem rozmawia i w pta-

sza umie się przerzucić, ile razy się zamyślał, szamotali go sotnicy, aby im nie uleciał, i ciągle go ścisłali rączyskami, że aż sińców podostawał.

Jadą tedy do Lwowa, jadą aż, ledwo siódma wybiła, i komenda i wóz wjeżdżają — gdzie? — może do Lwowa? — wcale nie — ale prosto do naszego obozu, gdzie dnia tego straż trzymał ludzie pana Franciszka Dzierżanowskiego. Kozacy dopiero się opamiętali, kiedy sam pułkownik przybliżył się witać księdza i krzyknął głosem piorunującym, pokazując na sotników:

— Ściągnąć mi natychmiast tych lotrów z wozu!

A kozacy, co na koniu siedzieli, nazad w nogi. Pułkownik, co nigdy ze swoim sztućcem się nie rozstawał, dał ognia, ale spudłował; kazał za nimi w poгон, ale, nim się nasi zebrali, dońce z przed oczu zniknęli: wicher chybaby ich dognać; a sotników kazał odprowadzić do pana Pułaskiego, który sam przybiegł na hałas strzału, by się dowiedzieć, co to jest, i my zanim. Tam dowiedzieliśmy się o wszystkim i obaczyliśmy sotników powiązanych a pomieszanych, i w lewo i w prawo obłąkanym wzrokiem obracających, że do zwierza byli podobniejsi, niż do ludzi. Ksiądz Marek do Pułaskiego:

— Proszę pana starosty kazać rozwiązać moich przewodników i swobodnie ich puścić: oni na moją wdzięczność zasługują, wszakże oni mnie tu przywieźli.

A że nikt u nas księdzu Markowi się nie opierał, pan starosta kazał ich puścić, z wielkim żalem pułkownika Dzierżanowskiego, co koniecznie przekładał, że to byli brańcy jego ludzi, zatem, że do niego należą. Ale z panem Kazimierzem Pułaskim krótka sprawa; puszczone ich na wolność wedle woli księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając go, iż wazyli się porywać na cudo-

twórcę. A zatem ze łzami poczęli go błagać, aby im czapkę podarował, że oni ją między siebie podzielą, a tem się zastonia od kary, która na nich czeka w ich obozie, za to, że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się oprzeć ksiądz Marek i oddał im, co żądali; ale, jak tylko odszedł, by się do mazy gotować, pan Franciszek Dzierżanowski czapeczkę kazał im odebrać.

— A co to — mówił — my na siebie mamy broń oddawać tym hultajom?

Odebrał także raport, przy nich będący, do księcia Repnina, ale ich samych puścił, jako na to miał rozkaz. Jakaśmy się później dowiedzieli, i sotników i całą komendę cały dzień kijami biło w ich obozie i na tem się skończyło. A jakie dziwolagi były w tym raporcie, który, będący z nami, bazylijan dla nas przetłumaczył! Nie do uwierzenia, z jaką ciemnotą i barbarzyństwem mieliśmy do roboty.

Taki to był człowiek ksiądz Marek, którego proectwa dotąd między ludźmi krążą, a którego imię tak jest związane z naszą barską konfederacją, że, kto sumienny i świadomy, a będzie pisać o jednej, musi wspomnieć o drugim. Znajdą się tacy, co, to słysząc, ramionami ruszą, ubolewać będą, żeśmy śmieli takowe rzeczy powtarzać. Czego ludzie nie zaprzeczają? Ale mniejsza z tem. Trudno nie wierzyć temu, na co się patrzyło, nie samopas, nie w śnie, ani w gorączce, ale przy tylu świadkach, na jawie, przy zdrowiu dobrem, a umyśle przytomnym. Mało dham o zdania tych niby mędrków, a między nami mówiąc, lituje się nad nimi; a nie przestane błogosławić Pana nad pany, co przez sługę swojego Marka tak wielkie działał rzeczy.

TADEUSZ REJTAN.

Śmieją się z nas, starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ależ kiedyż bo i czas i ludzie, wszystko to było lepsze, niż teraz! Wielkie sądy Boże! Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło; czyż już i tak małej liczby u nas nie stało, aby ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę. Widać, że nasz upadek tylko chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, ale nie zagłada, omdlenie, ale nie śmierć; poczem życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako z ziarna, co, w ziemię rzucone, przegniwa i zamiera, aby ożywić potem dziesięciokrotną obfity plon. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, są w obawie, gdy wszystko im się dobrze wiedzie; jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością i radzi, kiedy jaki frasunek niespodziewany przerwie im cokolwiek pasmo, snute przeznaczeniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejtan, podkomorzy nowogrodzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychował w Nieświeżu z księciem Korolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim litewskim. JW. podkomorzy był urzędnik, jakich i dawniej nawet niewiele bywało; bo i rozum nadzwyczajny i sprawiedliwość jego ledwie nie wyrównywała wzorowi, zostawionemu nam w świętych sędziach ludu bożego. A pobożność i wiara, że, gdyby nie pokora, umarłychby wskrzeszał! On to był szczególnym dobrodziejem OO. jezuitów w No-

wogródka, a ubogi tameczny klasztor dominikański przez jego szczodrość został jednym z bogatszych na Litwie. Bywało — co miesiąc sprowadza zakonników do Gruszkówki, by z nimi rekolekcje odprawiać, i wtedy dyscypliną chłoszczę się, jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale cała czeładź. „Mój chleb jesteście — prawi — pokutujcie więc ze mną”. Strach w całym dworze, kiedy się jaki dominikanin lub jezuita pokaze! A żaden sługa go nie opuścił: starzeli się i umierali u niego, a byli przywiązani, że w ogień by za niego skoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko słudzy, ale nawet żona i dzieci byli czujnych przed nim. Nadzwyczajnie miał on szczęście. Z rodziców już bogaty, majątek powiększał ciągle, lubo zdawało się, że o niego nie dbał. Ani się spyta, co się na polstkach dzieje, dyspozytory, jak chcą rządzić, a on powiada: „U mnie Pan Jezus gospodarz, Najświętsza Panna gospodyni”. Jakoż zdawał się na nich tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie połockiem, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko na parę tygodni zawitał; a przecie, kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, a tyle ich pozakupił, że zostawił dzieciom piętnaście. Miał on jeszcze po ojcu Gruszkówkę, w której mieszkał, trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia i dożywocie na Rubieżewiczach od księżnej kancierzyny Radziwiłłowej, która za jego radami miliony ocalała. Nie znał wszakże zabiegów, o nic nie prosił i o własne się interesa nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny. Dwa razy obrano go deputatem, raz posłem, potem sędzią ziemskim, na koniec na najpierwszy urząd województwa wyniesiony został, a na żadnym z tych sejmików się nie znajdował. Każde ludom i każdy przywilej szukały go w Gruszkowce, a nie on ich w Nowogródka, albo w Warszawie. Frasował się nieraz, że ta ciągła pomysłność nigdy się nie przerywa. Razu jednego zgo-

rzai mu magazyn wódeczany, w którym kilkoletni zapas był złożony. Nie z niego nie uratowano, na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody, cały dom był w smutku; on jeden, wesół, rzekł: „Przecież choć raz się nie powiodło. Sobiem rad, bo Pan Bóg o mnie pamięta“. A to był, jak żarcik Opatrzności, bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo krzyczowskie w Miedziawskim, które na rok przynosiło więcej, niż co dopiero utracił. Wzyscy się w domu cieszyli, oprócz niego. To mu spadło, jak kamień z nieba, bo ani się starał, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowem jaki szczęśliwy! Żona — to był anioł w ludzkim ciele: tak cnotliwa i piękna; syny, kawalerowie wzięci, że każdy ojciec ich mu zazdrościł; a córek było trzy: piękne panny, co wyglądały, jak młodsze siostry przy matce. Za życia powydawał je za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jedną wziął pan Paweł Jeśman, chorąży słonimski, którego przodek był wojewodą smoleńskim; drugą wydał za pana Kazimierza Haraburdę, starostę wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie niema nad sobą starożytniejszego; trzecią poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelanica nowogrodzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. — A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko ośmdziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To, kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata w łóżku trzymała i nakoniec życia pozbawiła, będąc okryty ranami i wielkie boleści cierpiąc (jak lekarze mówili, bo po nim tego nikt się nie mógł domyśleć, tak mężnie wszystko znosił), gdy wszyscy płakali, on weselszy, niż kiedykolwiek, powtarzał: „Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mię dotknął. Dopiero zaczynam dobrze tuszyć o moim przyszłym losie, kiedy mnie tu boli; dawniej sam siebie musiałem chłostać, a teraz mój Pan, łaskaw, mię chłoszcze“. Tak też Pan Bóg,

jako zapewne duszę jego zabrał do swojej chwały, tak i na ziemi pobłogosławił jego pamięci, między tylu godnymi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów naszej ojczyzny.

Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważyć wyroki Najwyższego, pan Tadeusz jedenby ojczyznę ocalił. A jakkolwiek pozornie biorąc rzeczy, nie powiodło się jemu, co jest niezawodnem, to, że pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zginie. On to nam postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. A my szczególnie. Nowogrodzianie, cieszymy się naszym ziemianinem, którego imię naród konający kazał złotemi literami napisać w miejscu obrad swoich prawodawców. Starzec, puszczyć wodze nadziei, wszak mówią, że przed śmiercią czasem duch wieszczcy ogarnia: nasi wnukowie doczekają się, że w Nowogrodzku Rejtan ze spisu posąg otrzyma. Rocznicę jego zgonu urząd miejscowy, rycerstwo i naród święcić będą. Co winna ma najświętszego w swoich obrządkach, co rozsądek narodu może wynaleźć najokazalszego dla doświadczenia ogólnych uczuć, złączą się, by uwiecznić pamięć naszego bohatera. Ubogich kilka panien, wyposażonych szczodrocią publiczną, corocznie u nóg tego posagu zawierają będą śluby z żołnierzami, co, już swe lata odbywszy, na wysłużonym kawałku ziemi osiedlą. Matki synkom swoim pokazując jego rysy, będą im tłumaczyły, jakim sposobem w narodach wolnych zapory grobowe się zwyciężają. Nieraz pomimowolna pycha rozszerza pierś moje, że pierwsiutki mojego żywota z nim przepędziłem, że od jednych mistrzów z nim nauki brałem, że obok niego na ławkach szkolnych siadywałem, że m podzielał jego zabawy. Jest jakaś dziwna potęga cnoty. W szkołach panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępym, a w za-

bawach najczęściej zamyślony, nawet ponury: nie miał tej głątkości towarzyskiej, innym niezbędnej dla utrzymania popularności. Jeżeli jakiś obywatel, nawiedzający OO. jezuitów, o dawnych rzeczach polskich mówił, pan Tadeusz wszelkie nasze zabawy opuszczał, w głębokiem milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom i już nie z zadumania rozerwać go nie mogło. Że klasztor był fundacji Jana Karola Chodkiewicza, jego obraz w kościele wisiał, to on — bywało — jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musiał go dobrze potrząść, nim się opamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrzeć potrzeba. A czy tylko obraz mu takie roztargnienie sprawiał? Na korytarzu klasztornym wisiała mapa Polski, — to, idąc na zabawę, jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej, jak wryty, i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nie koło siebie nie słyszy, choć studenci wrzeszczą, że ledwoby umarłego nie zbudzili; i nieraz rekreacja się kończy, a jego przy mapie, jak zostawili, tak zastają. OO. jezuitów długo usiłowali oduczyć go od tego ustawicznego zamyślenia się, ale, przekonawszy się, iż to było na próżno, dali mu pokój, ile że w postępkach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż jezuitów dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę, i silną, z następnego powodu: między konwiktami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelan nowogrodzki, którego ojca ponieważ rodziła ostatnia z domu Gosiewskich, znaczną swoją ojcowizną Oskierkom przyniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnie bystry w naukach. Otóż na majowej rekreacji zaczęto mówić o hetmanie Gosiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że, zrobiwszy akces do konfederacji tyszowieckiej, od tej pory zmazał pla-

me swojego związku ze Szwedami. Kasztelanie w tym względzie bronił swego przodka, a pan Tadeusz, co temu dyskursowi przysłuchiwał się, przerwał swoje milczenie, mówiąc: „Panie Władysławie wstydy się bronić z tej sprawy, chociaż swego naddziada. Hetman późniejszemi zasługami zatarał swoją zdradę, to mu przyznaję; ale, póki trzymał z najezdnikiem, ktoś śmie przeczyć, że był zdrajcą ojczyzny?” Pan Władysław dowodził, że uleganie okolicznościom nie jest zdradą, i że człowiek, widząc, że siebie zgubi, a ojczyznę nie zbawi, bardzo roztropnie robi, kiedy wchodzi w układy z nieprzyjacielem, aby się zachował ojczyźnie na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył, że, porwawszy kamień, cisnął nim w głowę kasztelanica, aż ten się krwią oblał. Wielki z tego zrobił się rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tem gwałtowniejszym być widziano, że kasztelanie z łagodnością się tłumaczył. Sam rektor świadczył pana Tadeusza, a potem kazał mu, klęczać, przeproszać ukrzywdzonego kolegę. Ale pan Tadeusz pod plagami ani jednej łzy nie paściwszy, powiedział: „Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mnie zabić miano; a każdego uderzę, co mnie powie, że godzi się wchodzić w zmowy z najezdnikami ojczyzny”. Kilkakrotnie był bity, a nic go przemóc nie mogło. Przestał go bić ksiądz rektor, żeby mu zdrowia nie nadwatlił, ale go do kozy zaparł, skąd tylko na naukę wychodził, chcąc go tym sposobem do upokorzenia się zmusić. Całemu tygodniowi wytrzymał wszystko statecznie, aż JW. Oskierko, kasztelan nowogrodzki, przyjechawszy do szkoły i dowiedziawszy się o wszystkim, sam go wyprosił. Gdy mu go przedstawili, zaczął go całować, mówiąc: „Niech ci Bóg nie pamięta, żeś mi chłopca taką blizną obznaczył; ale szczęśliwa matka, co ciebie na świat wydała. Nie masz czego przeproszać mego syna, tylko proszę ciebie, bądź mu odtąd przyjacie-

lem, jakim jestem twego ojca". Dopiero się zmięczył pan Tadeusz i rzucił się w objęcia kasztelanica, przyrzekając mu przyjaźń, której stale dochował.

W szkołach księża jezuiti byli zaprowadzili różne zabawy, stosowne do obyczajów polskich — i one nam wielce smakowały — między innemi potykanie się na palcaty. Za klasztorem było miejsce obzerne, a na każdej połowie przy końcu przestrzeni była mogiła usypana, którą nazywano taborem. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa wojska, potykające się. Cała wygrana zależała na opanowaniu taboru przeciwnego; i zatargi biliśmy się, aby swój obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwyczajnie dzielono się na Polaków i Moskali, a losy ciągnięte stanowiły, do których każdy z nas miał należeć. To pan Tadeusz, co był jednym z najlepszych w palcaty i nie-miłosłownie w tych udawanych bojach częstował nas dierających na niego, ile razy mu wypadało być Moskałem, najsłabszym nawet bić się dawał. Kiedyśmy podziwiali, że guzy, bywało, nosi od takich, co ledwo palcat w rękę trzymać umieją, on, co słynie z siły:— „Cóż chcecie — odpowiadał — kiedy ja i żartem znieść nie mogę, żeby Polaków Moskale bili. Ile razy, choć zmyślony, Moskal obuchafica oberwie, zdaje mi się, że ojczyzna coś wskórała, a ta myśl tak mnie jakoś opanuje, że bronić się nie umiem”.

Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i żydami, i o to tak gęste skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców, do szkół chodzących. Jezuiti wpadli na myśl szczęśliwą, której skutecznienie wyrobili u JW. Jabłonowskiego, wojewody naówczas nowogrodzkiego, a to, aby był sąd szkolny przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lekały się przekupki być w sprawach swoich na dy-

skrecji studentów, ale wkrótce błogosławiły tej ustawie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźćby nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żalące się stronie sąd dodawał obrońcę, studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale, jakimś raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, n'e przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Raz nawet przekreślał księcia Radziwiłła, marszałkowieza nadwornego, co potem był koniuszym litewskim, lubo za nim sami księta jezuiti forsowali. To pan Tadeusz — brwało — aż mu kłatki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego, pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sadził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: „Tu nie idzie o ufność, ale, żeby robić, jak prawo każe, a prawo nie pozwala, żeby powinny powinienego sadził. Wołę prawa słuchać, niż się cieżyć chluba, że w sądzie na rodzonego brata nie oglądałem się“. — A że, jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc tak się i usunął.

Jak w szkołach był zapalonym Polakiem, tak z nich wyszedłszy, gorliwym był obywatelem; i można powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde technienie było dla ojczyzny. Mając ledwo lat dwadzieścia, kiedy był jeszcze towarzyszem w chorągwi księcia Radziwiłła, powziął był chętkę do stanu małżeńskiego, ale prędko tego zanlechał. Była mu wpadła w oko panna Jewlaczewska, wojaczanka

wodkowyska, co potem wyszła za pana Prota Chmarę, marszałka oszmiańskiego. Panna urodziwa, z domu karmazynowego, bo przed stoła laty jej przodek był wojewodą brzeskim, a jako jedynaczka, krocie były w nadziei. Otóż, poznawszy ją w domu jej ciotki, W. cześnikowej Bernowiczowej, z którą i dom Rejtanów był w swojactwie, zaczął się jej nieco zalecać (czemu jego matka była rada, bo już ojciec nie żył) i ze szwagrem swoim, panem chorążym Jeśmanem pojechał do domu W. wojskiego, niby dla oddania mu atencji, ale w istocie, aby lepiej poznać pannę, nim Pan Bóg ściślejsze związki przestaczy. Ale tam przyjechawszy, obaczył w bawialnym pokoju wiszący konterfekt Piotra Wielkiego: to go tak zniechęciło, iż zaraz od swojego zamiaru odstąpił. Co się potem pan chorąży nie namęczył, aby go zwrócić do dawnego przedziwzięcia! Wszystko było na próżno. „Piotr — mówił — to był największy nasz wróg. On to nieboszczyka króla wciągnął w wojnę ze Szwedami, obiecał mu Inflanty, które są nasze wedle praw boskich i ludzkich, a potem, jak wylazł z kłopotu, nie tylko, że nie dotrzymał słowa, ale jeszcze z jego łaski zwinęto nasze wojsko, to wojsko, postrach bisurmanów, które pod Wiedniem całe chrześcijaństwo z ostatniej wyciągnęło toni. Wolę całe życie być kawalerem, niż brać żonę z takiego domu, gdzie pamięć nieprzyjaciela Polski jest w poważaniu, że aż obraz jego zdobi pokój, w którym rodaków przyjmują”.

Są rozmaite losy, od Opatrzności rozdawane: jego losem było męczeństwo za ojczyznę: jakoż w istocie wtedy się tylko cieszył, kiedy za nią cierpiał i tyle rozumiał swoje przeznaczenie, że zawsze był skwapliwym poświęcać siebie dla niej. Po śmierci Augusta III Moskwa bez żadnego hamulca rozprzestrzeniła gwałty po całej Polsce, upoważniona poniekąd do tego przez kilku zwiedzionych obywateli,

którym się zdało, że bezprawiem można ojczyznę pokrzepić i że najezdnic, przez nich wprowadzony, będzie w ich ręku ślepem narzędziem do ich zamiarów, może zbawiennych. Książę Karol Radziwiłł, nie zapuszczając tak daleko swojej wyobraźności, ale pamiętny senatorskiej przysięgi, jako wojewoda wileński, porożytał wici, powołując do pospolitego ruszenia obywateli, aby, łącząc się z nim na obronę praw zdeptanych, oswobodzili grunt ojczyzny, kalany najezdniczą przemocą. Pan Tadeusz, wówczas towarzysząc, pierwszy zrozumiał, jakie są obowiązki żołnierza i ziemianina, i zaczął naglić kolegów, aby się nie wahali w powinności swojej. Dowódca choragwi, człowiek poczciwy, ale podeszły w wieku, ojciec dzieciom i lękliwy, przekładał mu, że w tych rzeczach pierwsi, co zaczynają, ściągają na siebie odpowiedzialność, że bezpieczniej doczekać się jakiejś siły, do którejby się przyłączyć można, niż się na oślep wyrwać, że, jakkolwiek zapal jest szlachetny, roztropność ma swoje prawidła, któremi nie godzi się gardzić. Ta przekłeta roztropność jeszcze i wtenczas odurzająca flakowate umysły. Ale pan Tadeusz odpowiedział mu: „Co mnie waszność pan rozumowania naprzeciw powinności stawisz! Bądź co bądź, róbmy to, co nam prawo i sumienie każe, a spuścimy się na Tego, co nas nie będzie pytał, czyśmy majątki lub zdrowie ocalili, ale, czyśmy naszej powinności dopełnili. Silni zwycięstwem, zbawim ojczyznę: stali w cierpieniu za nią, wysłużym ją u Boga”. I pomimo oporu porucznika, choragiew całą przekonał i ze Szucka przyprowadził do Nieświeża.

Zostawszy regimentarzem nowogrodzkim, wszędzie w potyczkach i niezachwianą wytrwałość i nieustraszone męstwo okazywał. Pod Kleckiem, widząc lecącego pod koniem pana Aleksandra Odyńca, ranego, którego, mając w swojej komendzie, znał nadzwyczajną zdolność, zrobił dla niego z siebie ofiarę:

bo, podawszy mu swego konia, tem go ocalił, a sam dostał się w niewolę, w której istnym męczennikiem przebył dwa lata i nie wyszedł z niej, aż kiedy Moskwa, wszelki opór przełamawszy, utwierdziła na tronie Stanisława. Po rozwiązaniu się konfederacji nieświeskiej, wszystkim do czasu dano pokój, przywdziano barwę umiarkowania; skrupiło się tylko na księciu Karolu Radziwille, który, odsadzony od urzędów i majątków, jeden tułać się musiał, nie mając innych przychodów prócz zasiłku, jaki z krwawej pracy przyjaciele z Litwy mu dosyłali. Jak to u nas zwykle, po wybuchnięciu wielkiego zapалу następuje obojętność dla rzeczy publicznych, okraszona niby pobożną maksymą, że trzeba się zgodzić z wolą Pana Boga, a więc czuć przestać, zaczęto oswajać się z narzuconym rządem i sobą się tylko zajmować. Ale pan Tadeusz był z małej liczby tych, co ani na chwilę nie stracili z pamięci obelg Rzeczypospolitej wyrządzonych. Od wszystkiego się uchylił, wymówił się od ofiarowanego mu imieniem króla stołka w Radzie nieustającej, ani się nawet na sejmikach znajdować nie chciał. Siedział w Gruszówce, z początku obcował z odwiedzającymi, ale tą wesołość, którą oni chcieli rozpedzić jego ponure myśli, tak mu się stała przykrą, że potem rzadko kiedy przerywał swoją samotność, i o tyle tylko, aby się nie omijać z prawidłami gościnności. Powtarzał braciom zawsze: „Ja mam się weselić, kiedy nasz wódz na wygnaniu?” — I wkrótce nawet od nich zaczął stronić. Ale nie miał to być jeszcze kres jego zawodu. Moskwa, co więcej jeszcze pragnęła naszej czci, niż naszych dzierżaw, niedługo zasypiała. Już była szanowała część narodu, trzeba jej było jeszcze ohydzić to, co u nas było najszlachetniejszego, trzeba było pasmem nieprawości uwikłać najcnotliwszych mężów. Złudziwszy więc zwodniczymi obietnicami, pobudziła ich, aby podnieśli konfederację dla zrzucenia z tronu tego Stanisława, któ-

rego ze wzgardą całego narodu przemocą była usadowiona; a gdy tak zawiązała się konfederacja radomska, chciała nawet, żeby jej marszałkiem był ów tulający się książę Radziwiłł, który za nieugięte przywiązanie do swobód ojczystych i za nieubłaganą nienawiść ku Moskalom ciągle był prześladowany. Zdjęto z niego banicję, wrócono mu nieprawnie odebrane urzędy, zrobiono go, że tak powiem, naczelnikiem narodu, nawet nad wojskiem moskiewskiem poruczono mu dowództwo. Konfederacja zmieniła się w sejm, wszystko brało na się postać, jakby głos sumienia odezwał się w naszych wrogach, jakoby dla nas sprawiedliwymi być chcieli. Komu dziś tajno, na czem skończyły się te nadzieje? Porwanie na Sybir trzech senatorów i jednego posła dało poznać światu, jakie są zasady rządu moskiewskiego, jak tam rozumieją prawa narodów, i czem jest w istocie pozorne ukształcenie tego państwa. Ale ta obelga obudziła naród, jakby z jakiego letargu. W wielu województwach pochwycono oręż; konfederacja barska się podniosła.

Pan Tadeusz natenczas znajdował się w Berezowie, gdzie mógł się oddać samotności więcej, niż w Gruszówce. Tam jedyną jego rozrywką było polowanie w niebotycznych puszczach. Ale ledwo wieść go doszła o usiłowaniach narodu, chciał być z liczby pierwszych powstańców. Zawiązawszy stosunki z sąsiadami, usiłował ożywić w nich tlejącą miłość ojczyzny i w lasach białoruskich zaprowadzić wojnę zażartą, ale nie mógł siły swego ducha wlać tamiecznym mieszkańcom. Większa ich część tyczyła wprawdzie dobrze sprawę narodowej, ale ci radziły widzieli rzeczy pewniejsze, a byli tacy, co także Moskwie sprzyjali. Dość, że, używszy wszelkich środków, uzbroił kilkuset ludzi, chociaż najwięcej z dóbr swoich. Co się tyczy obywateli, było tego cokolwiek, co mu dało słowo i nawet przytączyło się do niego

na wstępie; ale, jak jednemu z nich Moskałe wieś z dworem spalili, wnet ostygła miłość ojczyzny we wszystkich, że ledwo kilkudziesiąt szlachty przy nim zostało. Trzymał się jednak w puszczy. Ale gdy Moskwa puściła na niego obławę swoich jegrów, a znaleźli się tacy, co im drogę pokazali, żeby tą usługą zalecić się carowej i zatrząść pamięć pierwaszych dowodów niechęci, trudna była sprawa dla Tadeusza. Robił wszakże jeszcze, co mógł: ze łzami błagał swoich, aby się bronili do upadłego, a nie hańbili imienia polskiego — mówił im: „W lesie jeden za dzieśięcią stanie; albo oni wiedzą siła naszych?” — „Ale, nie wiedzą! — odpowiadali obywatele, z nim będący. — My, to prawda, że nie wiemy, wiele ich jest, ale oni co do jednego policzyć nas mogą, albo ten i ten ich już nie nauczył na pamięć?” — A pan Tadeusz, zmęczony, jakby się żywem gadzinami nakarmił: — „Pozwólcie — rzecze — niech ja ich policzę; może ich tylko garść, dla postrachu, a wy na oślep trwożycie się. Nie rozpierzchajcie się tylko, póki się nie dowiem”. I na nikogo nie spuszczał się, że był zrzeczny do łażenia na drzewa, właził na ogromną sosnę, jakby pszczołnik jaki. W istocie, jak nam potem nieraz powtarzał, nie było tam tego tyle, żeby się im nie oprzeć; ale tameczna plugawa szlachta, skoro tylko przestał im bechtać w uszy o powinności, rozsypała się natychmiast. Jedni gajowi czekali przynajmniej, żeby na oczy zobaczyć Moskali, ale i ci przed nimi w nogi, widząc się opuszczonymi. Tak Moskałe w lesie, a pan Tadeusz na sośnie. Szczęście, że go nie postrzegli, bo, jak głuszcza, byłiby położyli. To on dopiero późną nocą z sosny zszedł, a do Berezdowa nie mając czego iść, bo tam już byli goście, co mu dom zrabowali do szczetu, a potem spalili, że magazyny, stodoły, wszystkie zabudowania jeszcze za nieboszczyka przez dwadzieścia lat może stawiane, jednej godziny w popiół się zamieniły; jak mógł do

Gruźówkę przedzierał się, nakształt zwierzcha, błędząc po lasach. Pan Bóg, co go do większych rzeczy chował, nie dopuścił mu wpaść w ręce Moskali, bo niezawodnie byłiby go zamęczyli. — W Gruźówce rzecz inna: każdy nowogrodzki szlachcic dawał mu, ile mógł, swoich ludzi; zaraz tedy kilkuset kozaków, najwięcej z dworskich, własnym kosztem uzbroił i ze swoim dawnym Aleksandrem Odyńcem wystąpił w pole. Znajdował się on w nieszczęśliwej stołowieckiej potyczce, gdzie hetmana Ogińskiego rozbito przez zdradę pana Giełguda. Tam kartacz zgruchotał głowę Odyńcowi, aż pan Tadeusz mózgiem jego obryzany został. Ta śmierć była mu krzyżem do dziwiania, bo w niej upatrywał wielką klęskę dla kraju — i nie bez słuszności. Nie w jednej bitwie walczył jeszcze do końca, nareszcie rozwiązała się konfederacja barska: zbrodnia i przemoc zgłuszyła nienawiść i prawdę.

Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przezeń okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i nawet unikał dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szafcu prawa bronić sławy narodu. W poselstwie nowogrodzkim Michał Korsak został kolega polskiego Katona. Zgromadzają się zatwardzieli lub przelekli prawodawcy w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy, a razem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogrodzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zajęli uzbrojeni Moskale; konty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze resztek sumienia w sobie nie przytłumił; zniewieścił monarcha idących do sali posłów ze łzami błaga, aby daremnym oporem nie gubili ojczyzny i siebie. Zasiadają posłowie. Jedni jakimś dziłkim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomieszanie, drudzy łzami zdradzają i pocziwość

uczuc i słabość duszy; kilku tylko wypogodzonym obliczom okazują, że wszystko prócz Boga poświęca, że za drzwiami izby zostawili, co tylko do żywota przywisywać ich mogło, że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Kanclerz ogłasza propozycję królewska, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na marszałka.

— Zgoda! — odpowiedzieli (jednak drżącym głosem) zaprzędani posłowie.

— Zgoda! — jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przełknięci.

— Niema zgody! — odezwał się Rejtan. — Na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfederację; przystąpmy do wyboru marszałka walnego sejmu.

— Tadeusza Rejtana obieramy marszałkiem! — zawołali Korsak, Bohuszelewicz i trzech innych posłów, kupiających się przy Rejtanie. Zdumieli się wszyscy. Rejtan porywa łaskę i sesję zagaja. Przez kilka chwil kanclerz, Poniński i inni jurgeltnicy moskiewscy zamilkli, większa część izby poczuła chętkę do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziali zdrajcy, z drugiej lonty, przybliżające się do panewek, przydusiły ten słaby płomyk cnoty. Okropny szmer powstaje, jakby na zbiorowisku piekielnych duchów.

— Nie damy się ovladać pięciu posłom, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej marszałka!

Wyrodni wydzierają łaskę Rejtanowi; pięciu opiera się wszystkim.

— Niema zgody na konfederację! — krzyczy Rejtan. — Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie płamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! Pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawiązaniu konfederacji nastąpi!

Świątokradzkie ręce biją Rejtana i jego kolegów. Poniński, ośmielony, już z łaską w ręku śmie sejm

zagajać. Korsak i Bohuszeuicz, szamocząc się między oprawcami, krzyczą:

— Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę ojczyzny nie pozwolim!

Ostatniego środka legalnego chwytł się Rejtan:

— *Scito actiuitatem!* — mówi — Sejm zerwany, niemasz sejmu! —

— Niemasz sejmu! powtarzają wierni męczennicy.

— Panowie bracia! — odzywa się Poniatki — widzieć, że ci panowie zmysły mają pomieszane. Nie ogladajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam panów do spisania aktu konfederacji.

— Zdrajco! — krzyknął Rejtan. — Jak ty śmiesz marszałkiem się ogłaszać, kiedy niema sejmu!

Poniatki salwował sesję na dzień pojutrzejszy, a posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy zostali dla zamieslenia manifestu. Trzy doby siedzieli oni tam zamknięci o głodzie, a potem nareszcie wypuszczono osłabionych. Nie było ofiar, któremby ich nie kuszone, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacji. Rejtanowi dawano łaskę mniejszą litewską i starostwo borysowskie; Korsakowi i Bohuszeuiczowi kasztelanje i intratne królewskiej; innym trzem inne obdarywane zyski. Niecnota Poniatki śmiał sam z Rejtanem o tem mówić i znieść jego oblicze.

— Podły człowieku! — odpowiedział Rejtan — mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i to ci oddam, a opamiętaj się.

Straszono ich odsadzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie miłością, pełnem pogardy, przyjęli ten postrach. Wywieziono ich nakoniec za miasto, a pan Gurowski, któremu złęczone było odprowadzić ich do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, powiedział im tam:

„Bywajcie, waćpanowie, zdrowi i probujcie nową konfederację przeciw nam podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmasać nie potrafi, co carowa jejmość o nas napisała”.

Pan Tadeusz osiadł w Gruszcówce, ale to pasowanie się ciągle a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć, znacznie mu zdrowie osłabiło; tem więcej, że w czasie owej rozbójniczej sesji jeden z tych potworów, wydzierając mu łaskę, silnie pięścią w ciemię go ugodził. Przy innych boleściach, często cierpiał zawrót głowy, a w ciągłych zadumaniach nocą bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale, jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnem skonfederowanych stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł — i rozum jego rozbił się, przywalony sromota publiczna. Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy ojczyznę ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo nowogrodzkie biegło do Gruszcówki oglądać swojego posta na łożu boleści, z umysłem nadwyreżonym w usługach ojczyzny, porażonego w ostatniej rozpacz. Ale nie dawał się widzieć, mówiąc: — „Ja ich nie znam. Obywatele nowogrodzcy są w Warszawie, oni zdrajców ojczyzny myślą rozsikać, a nie z chorym gawędzić”. — Kiedy ośmielił się go nawiedzić, gdy mię jemu oznajmiono, przypomniatł miłe sobie:

— Seweryn Soplica, to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wnijdzie.

Uprzejmie mię powitał i z początku spokojnie rozmawiał, ale zamyśliwszy się, zaczął z ruska przekłówać:

— A co, panie Sewerynie, nie winaszujesz mi

szczeńcia, żem postąpił na Moskale? Berezdów już w gubernji białoruskiej, ja carowej poddany. Proszę mi mojego zaszczytu nie odejmować: mnie sejm je oddał. Jestem mu wdzięczny, bo tam Połińskich niemasz.

I zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że, gdyby go słudzy nie przytrzymali, na mnieby się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Matka jego, JW. podkomorzyna, z wielkiego żalu opuściła była Gruszkówkę i aż w Mozyrskie się przeniosła, nie mogąc znieść cierpień syna. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Przez okno obaczył wysiadającego z powozu jenerała moskiewskiego, który stał w Nowogródku, a przyjechał oddać rewizytę panu Michałowi, natenczas gospodarzowi Gruszkówki. Pan Tadeusz chciał koniecznie iść na pokoje i odgrzązać się na jenerała, ale ludzie go nie puścili i zamknęli. Wtedy wpadł w jakieś zapamiętanie i, szybę u okna rozbiwszy, szkłem uraził sobie jelita. We dwa dni po tym przypadku ducha Panu Bogu oddał. Mówię Panu Bogu, bo na kilka godzin przed skonaniem zupełna przytomność mu wróciła, i najprzykładniej gotował się na śmierć, której tyle razy nieustraszony szukał. Panu Michałowi różne jakoby przepowiednie o dalszych naszych losach robił, których ten szanowny jego brat nie chciał przed ludźmi odkrywać, mówiąc: — „Nie chce was zasmucać; bo, co ma być dobrego, to tak daleko, że się żaden z nas nie doczeka, a bieda na karku“.

Potem tylko Zbawicielem naszym i Jego Najświętsza Matką był zajęty, ofiarując im te nowe cierpienia, które w nieprzytomności sobie zadał.

— Rozmyślnie nigdy mojego Stwórcy nie obraziłem i najmniejszego powatpiwania nie miałem o wierze. Tuszę, że Jego miłosierdzie i zasługi Jego Najdroższego Syna mię nie ominą; a cierpienia mnie

nieznanego ofiaruję Tobie, o Panie, za moją nieszczęśliwą ojczyznę.

To były jego ostatnie słowa.

V.

PAN REWIEŃSKI.

Był u mnie dnia wczorajszego pan Wołski, wnuk naszego niegdyś, a teraz nieboszczyka, sędziego ziemskiego, a osobliwego mego łaskawcy. Ten kawaler bardzo piękny i przyzwoity wychowanie swoje zakończył w niemieckich szkołach; ale pięknie myśli i miewa bardzo dobre zdanie; kocha szczerze ojczyznę po swojemu i, choć go często nie rozumiem, bo jakoś się tłumaczy zbyt mądrze, ale go szczerze poważam i wdzięczny mu jestem, że, choć roku niema, jak osiadł na wsi, przecie kilka razy już nawiedził dobrego przyjaciela jego ojca i dziadka, a że to, czy z ciekawości, czy może tylko z grzeczności lubi słuchać to, co ja tam rad o starych rzeczach opowiadam. Jakoż nigdy bez bez nie mogę wspomnieć sobie o ś. p. Ignacym Rewieńskim, który po dziadzie jego, a swoim teściu, otrzymał sędziwość ziemską za jednomyślną wolą całej szlachty księstwa nowogrodzkiego i był wzorem dobrych urzędników. Przy pewnej oszczędności żył on ledwie nie po pańsku. Wystarczyły mu dochody i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony, jak się należało.

Otóż sędzia przy końcu kadencji trzechkrólskiej powiedział mi po sesji: — „Panie Sewerynie, proszę waści na zapusty do Omniewicz, ale przywieść

nam i żonkę". Skloniłem się sędziemu, dziękując mu uniżenie, że raczy o nas pamiętać; albo to tacy byli sędziowie jak dziś! Tedy z moją Magdusią bryczką krytą (którą mi W. wojski Jabłoński dał *pro honorario* za odbytą kondytcensję na gruncie z ojcami bazylianami nowogrodzkimi) puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną i pa-lestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale, gdy mnie bryczkę da-no, czemuż miałem jej sobie i żonie żałować?

Sędziego dom nie był pałacem, ale ileż tam mie-sciło się gości! Dziśby tego nikt umieścić nie potra-fił. A jaka uprzejmość, jaka szczerość, jaka weso-łość! — Ja z żonką stałem na folwarku u dyspozy-tora, który, jak to wtenczas bywało, nie sługa, ale przyjacielem był pana, nawet miał z nim jakieś po-winowactwo. Oprócz nas jeszcze troje małżeństw mieściło się w pokoju, a dwoje w alkierzu z oko-nomstwem. A co też tego było we dworze! W sali jadalnej pięć stadeł. Młodzież roztasowała się po chłopach. To codzień zrana W. sędzia wszystkich obiegł i każdemu dzień dobry powiedział, przepraszając za niewygody, chociaż nie było za co przepraszać. Pewnie nikt się nie obudził przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, żeby gość był wprzód na nogach, niż gospodarz. A wielmożna sędzina wszystkie oby-watelki obchodziła z sędziankami i niejedną czasem w łóżku zastała, chociaż już i pacierze odbyła i kawę ze śmietanką wszystkim gościom sama porozayała. Około dziewiątej zrana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już i sędzina i sędzianki poumierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo, chociaż my, niżsi, umieli czuć powagę urzędu i wieku, znaliśmy jednak dobrze, że, jako szlachta, wszyscyśmy byli równi.

Otóż ja, co tylko susceptible byłem, to kiedy mnie wielmożny sędzia, tak majetny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nisko kłaniał się i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go całować; a przecie, gdyby mnie inaczej przyjął, poczytałbym siebie być silnie ukrzywdzonym. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy ręczki wszystkich pań, poczynając od gospodyni i jej córek. Sługa wszedł z gorzałką i zakąskami. W. sędzia odezwał się: — „Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć“ — i odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem i w kątyśmy je poustawiali, ale tak, żeby każdy o swojej szabli wiedział; bo, jak tylko jaki senator lub wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szablę przypasać, biec do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa i wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się, gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego, a nas, palestrę, także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających. W. sędzia, gdy widział wszystkich rozgoszczonych, nalał kieliszek gorzałki i, spełniwszy go, oddał wraz z flaszką gościowi, którego uważał być najznaczniejszym, a ten toż samo zrobił, tak, że każdy z nas z jednego kieliszka pił, i dopiero ostatni, wypiwszy, służącemu nalał, który po spełnieniu odnosił gorzałkę do kredensu, a wszyscy do wędlin się rzucali. Wiedzieć potrzeba, że, jeżeli się znajdował ksiądz, co zawsze bywało, od niego zaczynało wódkę; chyba że senator, a i ten zawsze jakieś ceremonje z księdzem robił. I to się chwali. Bo ksiądz do świata nas wprowadzał, i daj Boże, aby ze świata wyprowadził; a potem nie wiecie, co to był ksiądz za naszych czasów. To — bywało — ksiądz Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, na którego często patrzałem, a nigdy bez

strachu, choć go z serca kochałem, jak i wszyscy, co go znali, miał dziesięć tysięcy ludzi w swojej milicji, a dwór jaki! Nie tak łatwo było w oczy mu spojrzeć. A że nikt nie jest bez ale, był porywczym: To, jak się rozdała na kogo, czy to z plotki, jak po wielkich dworach bywa, czy z jakiego widzimisie, wie Bóg, jaki rozkaz na niego wyda; i pod ziemią szlachcie od niego nie byłoby bezpiecznym. Ale jak takiemu dać radę? — Perswadować — to, zamiast jednemu, dwóm byłaby bieda. Oto udawano się do księdza Kantembrynga, proboszcza nieświeskiego. — Książę chce mnie ukrzywdzić, pobudzony przez złych ludzi. Ratuń mnie! — A on natychmiast do księcia: — „Mości książę, czy to się tak godzi? Wszak wasza Książęca Mość nie pierwszy ordynat nieświeski. Gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książę pójdziesz; a jak się Panu Bogu pokazać, kiedy kto płacze na waszą książęcą mość? Zaniechaj, książę, tych łepetów, a w imię Zbawiciela proszę cię, abyś rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew waszej książęcej mości tak przeraził, że nie wie, gdzie się podzłać”. — To książę, rad nierad, a ustąpić musiał, i jeszcze chudego pacholka obdarzył, nagradzając mu strach; a tak najczęściej wszystko przyzwójcie kończyło się.

Po gorzałce zaczynały się zabawy przedobiednie. JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo naszą swoją bytnością, siadał do marjasa w pulę z gospodarzem i z JW. Rdułtowskim, chorążym nowogrodzkim, którego żona była rodzona siostrzenicą księcia Karola Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A, choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali, bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać; nie tak, jak teraz, co lada szlachcie, często i nieosiadły, złoto na karty sypie. Prawda, że i za naszych czasów niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki, ale to im się

nie chwaliło. Książę biskup Masalski po całych nocach — bywało — grywał w swoje francuskie karty, to też i pięknie skończył. A w Nieświeżu francuskich kart dostać na lekarstwo nie można było, bo książę tego towaru srodze żydom zakazywał i zato niemiłosiernie plagami ich karał. Więc panowie marjaszem, a my niżsi, rozmową starszych zajmowali się. Mówiono o sejmach, o posłach, co się na nich wstawiali, o prawach, o swobodach naszych, o konfederacji barskiej, świeżo rozwiązanej, o nieszczęśliwych braciach, co za grzechy nasze zakordonowani zostali, o haniebnym sejmie, który ich niewole ratyfikował, a w którym nasze nowogrodzkie poselstwo taką sławą się okryło, co nie dziw, bo w żadnym czasie nasze województwo się nie spaskudziło. Rejtan i Korsak byli nasi ziemianie, i Bohusz, sekretarz i duza konfederacji barskiej. A później w tak rozrodzonym obywatelstwie ani jeden się nie znalazł, coby do obrzydłej Targowicy przystąpił. W tych nieszczęśliwych czasach bez wielkich ofiar nie można było być poczesnym; a że ci ludzie te ofiary robili w Bogu dla dobra kraju, nie byłbym chrześcijaninem, gdybym nie był pewny, że te zasługi i cierpienia trwają u Boga i przepaść nie mogą, i zbudują nam gmach — a kiedy, wie Ten, któremu na czasie nie zbywa i który powiedział, że niesprawiedliwością narody upadają. I ja, dzięki Bogu, w cierpieniach doczekałem się zgrzybiałości, i ran kilka odniosłem, i dwa razy zrabowany zostałem do szczytu. Pomijam, że jak to było w obyczaju, zawazem ojczyźnie służyć o swoim, bez zapłaty, nie tak, jak dziś, co usługi na tandet wystawiają, jak stare pludry. I na Sybir porwany zostałem od żony i dzieci, gdzie dwa lata zgóra bledowałem i, w wolnym narodzie wolny szlachcic urodzony, na mniemanych ich inkwizycjach w Smoleńsku kilka razy batogami do omdlenia zbitym zostałem; a przecie żadna mroja łza na ziemię nie upadła; każdą na łono Boga

mego posłałem, błagając Go, aby te krzywdy moje na korzyść ojczyzny poszły; a że w czasie gorących modłów moich ode mnie twarzy nie odwracał, pewny jestem — i ta pewność osładza mi bojaźń śmierci, która do mnie, starca, już tuż nadchodzi.

Ale prócz tych naszych ważniejszych rozmów, przez politykę dla kobiet, mówiono o rzeczach, które ich bawić mogły. Pamiętam, jak je szczególnie bawił pan stolnik Siemieradzki, który był bardzo krotofilny i którego gdy nie było, zawsze czegoś nie stawało kompanji. Opowiadał on nam o Niemcu-kuglarzu, którego kiedyś widział w Królewcu, którego dziwne omamienia umiał na ludzi rzucać; kłął się, że tak wszystkich i jego samego omamił, że im się zdawało, iż pokój był wodą napełniony, i, kiedy wszyscy, przestraszeni, zabierali się już do ucieczki, postrzegli, że niema nic i że sucho w izbie. Prócz tego, że żaden jurysta gębą tak wyraźnie się nie wytłumaczy, jak on kuglarz bruchem. Inne podobne rzeczy opowiadał, czem nas wszystkich zadziwiał, a do tego miał swoje koncepta w opowiadaniu, że za boki od śmiechu trzeba było się trzymać. Potem jak zaczął udawać żyda, śpiewającego majufes, ale tak zabawnie, że chorąży Rdułtowski aż grę prześlepiał i dublę dostał, a przecież się nie zasepił, taki mój był śmiech; on to i koty umiał udawać i, jak się dziady z babami kościelnymi poswarzają: a któżby te wszystkie jego krotochwile zapamiętał. Jemu ten dowcip na dobre wyszedł, bo, choć zanie był urodzony, ale z rodziców podupadłych, zatem od młodości, jako chudy pacholek, po służbach chodził, aż przypadkiem dostał się do księcia Karola Radziwiłła, którego jego silnie polubił za te jego koncepta, dobrze go ożenił, obdarzył dożywociem porządnem i na człowieka go wykierował, czego mu nikt nie zazdrościł, bo był człowiek dobry, nie wstydził się ubogich swoich krewnych, owazem im świadczył i rad mawiał, będąc

już stolnikiem, o młodości swojej, w ubóstwie przedpędzonej, co mu wiele przyjaciół na sejmikach przy czyniało.

Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mieszały. Pani sędzina powiedziała:

— Muszę się mojem gospodarstwem pochwalić — i kazała przynieść rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscyśmy wychwalali jej pracę, a ojciec gwardjan bernardynów z Iwieńca, co przez ten cały czas, trzymając na kolanach małego sędzica, obrazkami go bawił, odezwał się:

— *Lous tibi, Christo*, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrytja obdarła się, w latanych albach za dobrodziejów Boga prosim, a tu piękne lniane płócienna tęsknią do kościoła i same proszą, ażeby zę mną pojechały do Iwieńca.

A sędzina mu na to:

— Wybierz sobie jeden półsetek, ojcie gwardjanie, masz do tego prawo; wazak ja wasza dłużniczka za cebulki tulipanowe, coś mnie przyniosł w jeśien.

Pan sędzia odezwał się:

— Ale wybierzże ze wszystkich półsetków najcięższy; bo oskarzę cię przed kapitułą, że nam takich gwardjanów przysyła, co się na gospodarstwie nie znają.

Wtem Wawrzyniec, kredencierz, wszedł z serwetą na plecach i coś sędzemu szepnął, a sędzia wstawszy, powiedział żonie:

— Kochanko, proś JW. kasztelana do stołu.

Za przykładem pierwszej pary, my wszyscy, wzięwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który, jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego wkoło stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nad-

mieniłem o Wawrzyńcu, kredencерzu, bo tego służę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka wojskiego Rewieńskiego, wielkiego myśliwego, był dojeżdźcą, potem lat kilka furmanem i woził go raz do Warszawy. Była to kronika żyjąca domu Rewieńskich. Pamiętał, kiedy nieboszczka wojska w ciąży chodziła z sędzią, jak cyganka jej wróżyła, że będzie miała syna, co w zaszczytach przejdzie ojca swego — i to często młodemu paniczowi przypominał. Otóż, kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz, co zrobił, to, że całą familję Wawrzyńca od wszelkiej roboty uwołał, a jego samego z furmana na kredencерza postąpił. Co kadencji Wawrzyńiec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogrodka. To my codzień — bywało — na atencję do sędziego chodzim, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyńiec nas wszystkich wódką traktował, a sam, nie wiem, czy jej smak znał, tak był trzeźwy. Lubił on tylko o starych rzeczach gadać, osobliwie o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obładu stojąc, do dyskursu się mieszał, ile razy o nieboszczyku mówiono; bo sędzia jemu wielkiej do siebie konfidencji porwalał, że był bardzo do państwa przywiązany i tego znał służbę. Czasem kilkadziesiąt gości u sędziego dobrze podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. Do tego koni na nosaczynę, a psy na robaki miał sekret leczyć, czego sam kilka razy byłem świadkiem.

Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich niewielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pił. Gospodarz zaczął od JW. kasztelana Jeleńskiego, w ręce chorążego Rdultowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił zdrowie chorążego; następnie kasztelan zdrowie gospodarskie, a chorąży gospodynii; gospodarz znowu rozmaitych

zasłużonych a przytomnych obywateli: z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wychylał, bez wylewania na ziemię, bez domieszkiwania wody i innych podobnych obłud, jakich później namnożyło się, nim przyszło do tego, że gościa, bogdaj i najzaciejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia, co ma być dowodem, że teraz więcej grzeczności, niż za naszych czasów! — Po obiedzie zaczynały się plasy, tańce i mazur, na przemianę. A tak i młodzież i sędziwi bawili się, a kielichy ciągle chodziły aż miło. Zabawy były niewinne, szczerze; każdy serce na ustach nosił, bo nie miał potrzeby go zakrywać. Kiedy podochoćceni, zaczynaliśmy śpiewać kociubichę, a przyszło do ostatniej zwrotki:

Kurdecz, kurdecz nad kurdeczami!...

a hukniem razem: „Kochajmy się!” — to nie był czczy wyraz, ale można było być pewnym, że każdy dla wszystkich, a wszyscy dla każdego choć w czyściec. Otóż tak było w Omniewieczach. Mocarze świata zazdrościliby szlachcicowi polskiemu, gdyby byli świadkami, jak umiał siebie i gości bawić na łonie równości.

W ostatni wtorek zrana, gdyśmy byli zebrani u sędziny, sędzia wpadł z obliczem uradowanem i powiedział:

— Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszać naprzeciw dostojnego gościa, co swoją osobą chce zaszczyścić ubogi nasz domek. JO. ksiązę Radziwiłł, wojewoda wileński, w samo południe tu będzie; zatem na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć.

Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana nowogrodzkiego co, jako senator, w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by W. sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło seskich koni,

reszta każdy zaprzężonego konia uchwyciwszy i okubaczywszy pierwszem siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztarni sędziego, ruszał na spotkanie księcia, a niejeden i oklep; bo, choć masztarnia była porządna, gdzieżby wszystkim nastarczyć: więcej niż w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, a my ciągnęli się sznurem: konfederacje barską mnie to przypomniło, ile że biegłem naprzeciw jednego z najdosłojniejszych jej wodzów. Niedaleko Naci, przy karczynie, Czarnoszczenie zwanej, z powodu, iż prostota powtarza, jakoby kiedyś djablica miała się oszczenić obok tej karczmy, na tem samem miejscu, gdzie teraz stoi św. Jan Nepomucen, spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich już okiem dojrzeć nie można było. Wiece my ustąpili z drogi, czekając, aż sanie samego księcia nadejda. Śniegu koniom było po brzuch, sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, huknęliśmy wszyscy razem:

— Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincji litewskiej!

I wszyscy pozsaladali z koni, żeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając pokilkakrotnie:

— Panie kochanku, czy ja wart, żebyście mnie tak przyjmowali?

A pomimo nalegań sędziego wysiadł z san, nie uważając, że śnieg. Witał się z nami, a prawie każdego po chrzestnem imieniu nazwał, rozumie się z tych, co się ku niemu zbliżali; bo wielu z nas, i ja najpierwszy, nie chcąc sędziemu czasu zabierać, a tem więcej księciu, opodal staliśmy. Wszak pomimo naszej dyskreccji więcej godziny witania trwały, a wszystko w śniegu; aż, nacałowawszy i naściskawszy się z bracią szlachtą, książę krzyknął na koniuzszego swego, żeby mu konia wlerzchowego podał.

A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał, jak wprzódy, zniescierpliwili się i rzekli:

— Tak! W. pan przyjaciel, panie Ignacy! Kiedy szlachta na koniu, chcesz, żeby Radziwiłł na wozie siedział, jak żyd!

I, lubo dosyć był otyły, skoczył na konia, jak za dobrych czasów, i zażył go, jakby żadnemu z nas lepiej się nie udało. Potem stępo wedle powagi swojej clagnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, żem był opodał, bo radbym wszystkiemu się przysłuchał. Ile że, co tylko nasz książę powiedział, warte było być rytem na kamieniu. Książę był wzrostu słusznego, otyły; głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; was duży i zawieszisty, który głaskał, gdy był wesoły, a zakrecał do góry, kiedy bywał markotny lub poruszony; płeć biała, jak u kobiety, nos długi, oczy jasnobłękitne, duże, najczęściej pełne wesołości. W oświeświeństwie wykwinął, bo zawsze przynajmniej dwa razy na dzień białiznę odmieniał; a był ubrany dnia tego w mundurze ulubionym województwa wileńskiego, to jest: kontusz granatowy kusy, podszewka, żupan i wyłogi amarantowe, pas srebrny w amarantowe kwiateczki, szabla, w jaszczur oprawna, buty żółte z srebrnem podkówkami, na tem wszystk'iem płaszcz z grubego sukna szarego, kuczbaję podszyty, a po wierzchu zarzucona burka, spleta pod szwja srebrnym radziwiłłowskim orłem. Nosił jeszcze wielkie szarawary płócienne, oskurem wyżej pasa związane, a to, żeby kontusza w podróży nie brukać. Do tego czapeczka karmazynowa, czarnym barankiem okolona, kitajką bez waty podszyta; kładł ją na bakier na samym wierzchu głowy, ucha nie dotykając, chociaż mroz był dobry. Na bucie berlaacz sukienny; rękawiczek nie znał, lubo znaczna część zimy pod gołem niebem przepędzał, łowami zajęty. Miał dowcip

bystry, łatwo obejmował rzeczy, z historją narodu był obeznany; a nie tylko, że znał doskonale procedencję i powinowactwo swojego domu, ale nawet i domów szlacheckich. Szlachęca najuboższego, byle karmazynowego, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlachestwa, jako neofitów, Niemców i popowiczów czuł wstręt i do siebie przystępu im nie dawał. Z prawem krajowem był dobrze obeznany, a przewodnicząc po dwukroć trybunałowi litewskiemu, w tem urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym i w zdaniu, raz przyjętem, niezachwianym. Na obradach publicznych mawiał często, często nieprzygotowany, zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów, a lubiąc z drugich żartować, nigdy się sam nie obrażał, kiedy się mu kto odcinał. Pan dobry i kochający sługi, tak dzieci: to też i oni za niego ubićby się dali. A choć był porywczy, że dobre miał serce, byle czem dawał się ubłagać; nie tak, jak jego stryj, chorały, co po lat kilkanaście trzymał w łańcuchach wykraczające sługi. Kiedy szlachcie u księcia wojewody służbę dostał, mógł być spokojnym o los awych dzieci. Dla kobiet był grzeczny, że każda z uszanowaniem w ręce całował, choćby żone dyspozytora, byle szlachcianka. Obserwował pilnie prześady religijne: codzień z szatnym śpiewał godzinki Nienokalanego Poczęcia, sobotę suszył, a w wielki piątek nawet dyscyplina się chłostał, za co też wielkich od Boga doświadczał błogosławieństw. Pił dużo i niełatwo było dotrzymać mu placu. Jednemu Leonowi Borowskiemu nie mógł dać rady: ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale z pomiędzy sług i przyjaciół on był jeden, co tego dokazał.

Kiedy się kalwakata już do omniewiczowskiego dworu zbliżała, siedzą puścił konia swego w czwał, żeby księcia przed domem przyjąć. Jakoż jego i gości zastaliśmy przy ganku. Siedzina i wszystkie damy wy-

szły także na spotkanie gościa. Książę, zsiadłszy z konia i pokilkakrotnie ucałowawszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zaczynając od gospodyni, w ręce pocałował: dostało się i mojej Magdusi. Potem wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca:

— Jak się waszeć masz, kumie? — powiedział mu.

W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec, jak długo, padł księciu do nóg i rozbeczał się. Książę, podniósłszy go, zaczął łaskawie wypytwać o żonie i o dzieciach, a kazawszy sekretarzowi swemu, Mikuc'owi, napisać mu kwit na dwie fury zboża do wyboru Wawrzyńca i, sam wręczając mu go, powiedział:

— Zanieś to odemnie twojej żonie.

Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cały dzień chodził nabańdziejony, jak indyk. Jeszcze nazajutrz, kiedy przyszedł na folwark, upominając się u dystryktora o owies dla gościnnych koni, kiedy mu ten powiedział:

— Ach, mój Wawrzynie, czy nie przesadzasz? — Wawrzyniec odpowiedział:

— „Przesadzasz, przesadzasz!” To ja to niby doliczyć się nie potrafię, to ja niby głupi? A niechno ieromość nódzle do księcia nanna i zapyta go, czy Wawrzyniec głupi? Bóg i ludzie wiedzą, że książę pan mnie zna i wczoraj odrazu mnie poznał, i tak mnie powitał, jak gdybym był wielmożnym: toć już zdaje się, że mnie n'kt za głupca trzymać nie może.

A tem ja to wszystko z alkierza słyszał, za boki trzymałem się ze śmiechu.

Trzy dni hulaliśmy.

Książę był ciacie w przedziwnym sosie, animował do kielicha, tak, że siedział aż płakał z rozradowania. Miedzy inne zdrowia, ks'ąże sam wniósł przeświadczej palestry i każdemu z nas jakąś grzeczność

powiedział, a gdy ja z innymi przybliżyłem się do niego, rzekł:

— Sewerynie, kolego, wasze był kiedyś *de hajda*, a teraz *de fure*; kiedyśmy to my nieprzyjacielskie tby płaćali, a teraz przyjacielskie lampy.

Ja mu padłem do nóg, jak długi:

— Niech książę pan tylko piśnie, dobre czasy nam wróć, a pan stolnik litewski pójdzie fora ze dwora.

Książę waza do góry pokrecił, bo już był przyrzekł królowi więcej nigdy na niego konfederacji nie podnosić i mawiał często:

— Robiło się, co można, ale teraz, kto kocha ojczyznę, niech wiary królowi dochowa. Panie kochanku, namnożyło się kapeluszów, czapkami rady im nie damy.

Wśród zabawy było się trochę zachmurzyło z następnej przyczyny: JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, przed kilku niedzielami, jako członek za-dwornych sądów, był zjechał do Nieświeża na komisję z kahałem nieświeskim i zakończył interes, zapewne sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania. Ależ książę jego nie lubił, bo w czasie bezkrólewia był z małej liczby Litwinów adherentów domu Czartoryskich i z ich łaski otrzymał wysokie w prowincji naszej krzesło. Książę więc przy kieli-chu, wspominać o świeżo odbytej komisji, powiedział mu nihy żartem:

— Powiedz prawdę, panie kochanku, wiele re-bochem wzięłeś od żydów?

Myślałem, że na te słowa pęknie ze złości kasztelan.

— Straszne rzeczy — powiedział — (bo to było jego przysłowie), straszne rzeczy! Senatorowi, orderowemu kawalerowi Orła Białego, powiedzieć „re-bochem“! Protestuję się przed wami, iż książę woje-

woda w mojej osobie całe księstwo nowogrodzkie skrzywdził.

Na to się obruszył książę. Nasz Rdułtowski, najpierwszy ze stanu rycerskiego, lubo sensat i poważny, ale przez żonę siostrzenicę księcia:

— Panie kasztelanie, a jużci to zanadto posunął się: chyba stworzyć trzeba takiego obywatela, co by wymówkę, do osoby jego zregulowaną, uważał być krzywdą całego województwa.

Na to kasztelan:

— Ponieważ wszyscy dopuszczają mnie krzywdzić, więc ja, nie czując się bezpiecznym w domu pana sędziego, wyjeżdżam.

Sędzia prawdziwie był w rozpacz: kłechał przed drzwiami, prosząc kasztelana, ażeby mu tej krzywdy nie robił: wynosić się z domu. Ale książę pan, widząc frasunek sędziego, przybliżył się do kasztelana, mówiąc:

— Panie kolego, odpuść mnie to, com ci żartem powiedział.

Poprzestał na tem kasztelan i miał słuszność, bo, gdyby się był wahał, tobyśmy się wszyscy obruszyli: nie wiedzieć, co mu do głowy przვაzło, jakby konfidencja księcia mogła kogo obrazić. Rozgniewał się wójt gdański na króla polskiego! To też my wszyscy zrozumieli, że, jeśli książę niby się uniżył, więcej to uczynił dla sędziego, niż dla niego samego. Ale też niezadługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, jego plenipotentą, który po swojemu o tem zdarzeniu rozpowiadał z krzywdą księcia, a jako o słyszanej rzeczy, bo z nami w Omniewiczach nie był. Skutkiem tego wypadku kilkunastu nas jurystów z taktowego rejestru zapożyczanymi zostali, a na ntnie się zmieło. Bo, gdy wzięta odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwana, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały: nie śmiałem odprzysiąc się, lubom tego nie pamiętał, bo w zapale

być to mogło. Skazany więc zostałem na sześć niedziel więzi i zapłacenie tysiąca grzywien. Grzywny chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, a więzę musiałem odsiedzieć. Alez tego nie żałował. Książę pan, pamiętny, że cierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że, gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebieby się zrobił. To też przy łasce księcia JMości (niech go Bóg błogosławi na wieki!), a przy pomocy Boskiej, z tego się zrobiło wszystko, co jest. — Co się zaś tyczy JW. kasztelana, przeprasiny księcia dały mu się we znaki, bo książę na ich dopełnienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajszyc, rezydencji kasztelana, który, będąc wielce oszczędnym, nie mało w duchu się nafrusował, że trzeba było przez dni kilka okazałego i liczne goście'a swoim chlebem przyjmować; a przecie, rad nierad, musiał się okazywać wesółym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pyszny i chciał nie po szlachecku, ale po pańsku wystąpić. Dobrze tedy opłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny i prócz porządnego spadku miał kilka intrygujących królewskich.

Tak więc chmura przedko rozpedzona została i już nie zabawom naszym nie przeszkadzało — i owszem z powodu zgody jeszcze goście' kielichy krążyły: — nawet przy końcu wzięto się do kielichów szklanych. Był to w dawnym obyczaju najwzwyż stopień podochocenia. Kielich szklany był detv. Gdy, napelniając go winem, przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem, inaczej pijacy został obryzany, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody. Wzrzasy popłiśnięć się okrocznie; gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim nić, na znak zwycięstwa jeszcze kielich wypił do Wawrzęca i tego go oddał, napelniając swoją ręką: o własnej sile pozzedł do

sędziny, z nią zmówił litanje do Najświętszej Panny. To wszystko odhwywszy, zjadł ogromną miarę kapusty kwaszonej i spać się położył, zdrow, jak gdyby nic nie pił.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, był zrana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza nowogrodzkiego, z panną Agnieszką Hacıską, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego domu będącą. Jej ojciec, chorąży pancerny, zasny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale w czasie konfederacji barskiej znacznie się obdłużył, swoim kosztem sztyftując chorągiew, na czele której pod Sochaczewem poległ. Majątek jego okropnie spustoszony został przez Moskwę, zgolił, że prawie bez sposobu został żona z czworgiem drobnych dzieci, a i ta, nie długo płacząc, złączyła się z godnym małżonkiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swolego, który, lubo młody, już najsędziwarszych posiadał szacunek. Jakoż s'e nie zawiodła, bo pewnie o własne dzieci dobry sędzia więcejby się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki wydzwlewał, edwż cały majątek poszedł na satysfakcję wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów własnym kosztem zaspokoił, żeby dusze szwagra oczyścić, a wieczny odpoczynek jej przybliżyć; a jego dzieciom dał wychowanie przystojne. Starszy syn, wyświeczony w palestrze, został rewentem grodzkim nowogrodzkim; młodszy był nokojowym u księcia wojewody. Starsza córka, Katarzyna, lubo trochę ułomna, wielkie szczerście miała do ludzi. Nie jeden majetny kawaler o jej przysiażni się starał, ale ona najleniwszymi postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Sam byłem na jej obłóczynach w klasztorze nanien benedyktynek nieświeskich. Sędzia chciał być na nich, jako wuj, ale nie mógł dojechać do końca; bo, lubo nie sprzeciwiał się powoła-

niu Boskiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedmnaście lat mająca, której zaręczyny z W. cześnikowiczem się odbywały. Zrana, gdy się goście zebrali na pokojach, pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna do panny chorażanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotny związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót i skromnego wychowania chorażanki, jako też koligacji z jednym z najzачniejszych domów w województwie, więc dla syna o jej rękę prosi W. sędziego, jako drugiego jej ojca, a zarazem księcia wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować księcia, bo, co najchętniej lubił, to kojarzyć małżeństwa. To też natychmiast wstał i, wpół ścisnąwszy sędziego, rzekł:

— No, panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi. Mogilnickich dobra krew: niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko: bo, jak zaskoczy Popielec, na czterdzieści dni klamka zapadnie.

Ojciec i syn ucałowali kolana JO. swata za wstawienie się łaskawe; a gdy pan sędzia oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel, jak W. cześnik, szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i w nadziei, że Jagusia wstretu ku temu nie czuje, chętnie błogosławięństwo swoje, jako wuj i opiekun daje. Pan cześnikowicz, jak długi, padł mu do nóg i też samo sędzinie. Książę wziął za ręce chorażankę, która drżała, jak liść osiny, i zapytał ją, czy zgadza się z wola wujaszka iść za cześnikowicza. Chorażanka w płomieniach ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. Książę:

— Głośniej, Jagusiu! — a ta jeszcze więcej się zmieszała. Książę tedy:

— No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho, ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą.

I, wzięwszy ją wpół, ucho do jej ust przyłożył. Po niejakiem czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wykrzyknął:

— Zerwała!

Biedna chorzątko ledwo nie zemdląła, kiedy cześnikowiec padł jej do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorzątko wysunęła się z pokoju. Pan cześnik powiedział:

— Ja dymituję synowi Kozarkę, folwark mający 10 dymów, a po mojej śmierci będzie się miał jeszcze czem dzielić z braćmi; a wypuszczając mu wieś, dam mu świeronek zapaśny, iż na niczem młodemu gospodarstwu zbywać nie będzie.

— Co do mojej siostrzanki — rzekł sędzia — jej posag aktom wiadomy: ma ona swoich szesnastu tysięcy pięćset złotych, które po zapisaniu ewikcji panu cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję.

Wtenczas książę odezwał się:

— Naco pan Karol ma ewikcją obciążać swój majątek? Ja sumę przyjmuję, a w procencie wieś przyazłej pani cześnikowiczowej wypuszczę.

Skłoniwszy się, stolnik powiedział:

— Ponieważ wasza książęca mość łaskaw nasze dzieci, a przyazle sługi swe, swoim chlebem karmić, więc ja szacunek wyprawy, trzy tysiące gotowych dołączę, a całkowity posag synowej mojej dziewczynki tysiące pięćset ulokowany zostanie w kasie waszej książęcej mości.

Książę powiedział panu Mikulowi, że jedna z wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, i dodał:

— Niech inwentarz będzie przyjacielski:

Pan Mikul podał registr folwarków, do pusz-

czenia będących (który to regestr zwykle przy sobie nosił), a gdy pan cześnik wybrał Borowicze, tegi folwark w Słuszczyźnie, przeszło trzydzieści chłopów mający, książę powiedział:

— Jaki addyament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupu Borowicz.

Po najpokorniejszych dziękach pan sędzia wyrzekł:

— Wasza książęca mość i wy, szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich obecności sam intercyzę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić.

A wzięwszy pióro i papier, odrazu zaczął pisać tranzakcję, wedle zwyczaju poczynającą się od procedencji państwa młodych. Dziwną łatwość miał sędzia do pisania: nie go rozrywać nie mogło; nieraz, pisząc, do dyskursu się mieszał, a omyłki nie robił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał i dość obszerną intercyzę w pół godziny skończył. Po głośnem onej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nowy kłopot dla chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby; trzeba jej było z narzeczonym zamienić pierścionki, klęknąć z nim przed wujostwem i ojcem dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed księciem, z intercyzą w ręku, by podziękować mu za szczodrość i prosić go o podpisanie się za świadka, co JO. książę uczynił, naprzedstawiając chorążankę zaręcznikami. Podpisał się także kasztelan Jeleński i chorąży Rduftowski. Nie codzień czyta się taka intercyza, bo mieścił się w niej porządny kawał chleba, a zdobiły ją mitry, krzesła i orderzy. Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie Pańskie, z woli sędziny, pomimo licznych prośb, aby go przyspieszyć. A to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła:

— Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już się kończy lat trzynaście jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam.

Sędzia rzucił się w jej objęcia i rozplakał się, my wszyscy się rozrzewnili i księciu wojewodzie kilka łez na wos upadło. Jeszcześmy nie odeszli z rozrzewnienia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama weselość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia zaręczonych. Piliśmy także: „Niech żyją połączone domy“. A gdy przyszło do piasów, którym książę dał hasło, w pierwszą parę wzięwszy pannę chorążankę, i coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewika panny Agnieszki, piliśmy także z buta księcia wojewody i naprzemiennie szły tańce: mazurki, krakowiaki, przepłatanie kielichami. Dopiero w samą północ, na zakończenie zapust, książę, wzięwszy panią sędzińską, a każdy z nas damę swoją, posłaliśmy drabanta, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem, książę gwardjan bernardynów miał do nas egzortę. Ostrzegłszy on nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadzedł czas pokuty i postu, zaprosił wszystkich do modlitwy. Słudzy zaczęli wypuszczać z klatek wróble, a my z księdzem zaczęliśmy śpiewać „Gorzkie żale“, aż ściany się trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardjana nad naszymi wszystkimi się unosiły. Kilka godzin klęczeliśmy, aż dopiero posłaliśmy z gwardjanem do cerkwi uniekiej, niedaleko dworu będącej. Tam ojciec gwardjan miał mszę o czwartej zrana. Sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do tych słów: *Cum jejunatis, nolite fieri sicut Pharisei*, wszyscyśmy do pół szabli z pochwę wydobyli, głowy czapkami nakrywamy, a to na znak, iż gotowi jesteśmy walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy, książę wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan

rycerski, urzędnicy wprzód, dalej my, szlachta, potem słudzy, ordynkiem po dwóch postępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstej zrana. Jak w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku posililiśmy się spożywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w salę obiednej. Siedliśmy do postnego obiadu: wszystko było na oleju; ale część gości i same gospodarstwo, mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami tylko się posilali. Gdyśmy spostrzegli, że kasaż wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odwataliśmy się dogadzać żołądkowi; a choć tem małym umartwieniem każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie było widać u stołu, tylko miód i piwo. Po obiedzie wszyscy rozjechali się. Ja z moją Magdusią puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w ubogim naszym dworku.

VI.

TRYBUNAŁ LUBELSKI

I.

Ośmdziesiąt lat mija, jak błęduję na tym padole płaczu, a i drugie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem, ani młokosem, ale już miałem blisko lat czterdziestu. Lubom starzec, nie zazdroścę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, nacośmy patrzeli. Doczeka się i ona swego czasu

czegoś dobrego, ale taki to nie będzie, co było. I nasze trybunały były pełne powagi, i było na co patrzeć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy był ledwo nie dwomaset laty i więcej narędom sprawiedliwości wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w Koronie ledwo nie trzydzieści. Oóó, kiedy konfederacja barska się rozwiązała, kraj pierwszy raz podzielono, a mój pan już nie żył, osiadłem, jak to powiadają, jak na łodzie. Miałem ja chętkę i w wojsku Rzeczypospolitej służyć i o tom się starał, ale departament przyjmował konfederatów barskich z równą uprzejmością, jak pies jeża. Cóż tu było robić? Przypominałem sobie czasy dawne, jak to ja kiedyś u wuja relacje pozwów przepisywałem. Pomyślałem sobie: „Pójdę do palestry obywatelom służyć”. Coś się z prawa pamiętało, reszta się douczy. Nie świeci garnki lepia. Pomagali mnie też ludzie. W Polsce, kto się bił za ojczyznę, a jeszcze coś dla niej oberwał po kościach, między swoimi z głodu nie zginie. Pan Fabjan Wojniłowicz, rejent ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim lenaku, kto nie chciał, prawaby się nauczył, a coś dopiero faldów przysiedziawazy! Wkrótce człowiek wprawił się stawać, jak potrzeba, a że w kieszeni pacjentom niebardzo zazierał, szlachta powierzała interesy. Właśnie wtenczas na reke mi poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia wojewody, ożeniłwazy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową, której wydzwigiwał majątek nieco zawikłany, musiał się przenieść na Białą Ruś, a zatem księciu podziękować. Wielu było ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić, i mocne były intrygi. Ale książę z własnego instynktu przypomniałwazy sobie, że widywał mnie w bitwach i że parę razy byłem do niego posłany z sekretnymi instrukcjami przez JW. Ogińskiego, wojewodę witebskiego, wówczas pana mojego, przez wzgląd na te moje jakieś zasługi dla kraju, powierzył mi atento-

wanie wszystkich spraw, jakleby mógł mieć tak w ziemstwie, jak i w grodzie nowogrodzkim.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy ks'ążę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Książę, przybywszy do Białej, niedługo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sadzona być miała jego sprawa zadawniona, która przez wielkie forsy przechodziła. Siegała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki, a okoliczności, z których wynikała, głośnemi są dotąd na Litwie. Książę Sierotka żył w ścisłych stosunkach z JW. Ilm'czem, wojewodą brzeskim litewskim, co miał wielkie dobra, a między innemi Białe, w której mieszkał. Kiedy więc powziął zamiar odbycia pielgrzymki do Ziemi Świętej, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż ta jest niebezpieczna, iż można było zakładać trzymać, że się z niej nie powróci, książę, będąc kawalerem i nie mając sukcesorów, prócz książąt Radziwiłłów, upartych kalwinów, którzy go z powodu, że rewokował, nie mogli, prześladowali, a tem i on do nich niewiele miał serca i nieraż był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały wzbogacić nieżywczych krewnych, umyślił majątkiem swoim obdarzyć przyjaciół. Te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając, prosił go o radę. Na to pan Ilmicz:

— Jak zrobisz testament, mój książę, a Pan Bóg ciebie do kraju nie wróci, ci, których obdarzysz, nie będą korzystali z twojej szczodroty. Ty wiesz, że w naszym prawodawstwie żaden testament nie jest tak mocnym, aby *interpretationi* nie podpaść. Krewni twoi, Radziwiłłowie białusiacy, są silni, oni rej wodzą dysydentami obydwóch narodów, a w Litwie i katolik nawet po twojej śmierci nie odstąpi; zważy twój

testament, owładną twoje dobra i napełnia je bombizami. Jahym ci radził, nie testamentem, ale formalną tranzakcją rozporządzać majątek.

— A to jakim sposobem? — zapytał książę.

— Ty nie żonaty — odpowiedział JW. Ilinicz — ja dzieci nie mam; zróbmy więc między sobą tranzakcję na przerzycie. Ja pierwej umrę, wszystkie dobra twoje; Pan Bóg ciebie pierwej zawoła do chwały swojej. Słuczyszyna, Kojdanowszczyzna, Siebież i, co tylko teraz posiadasz, będą moje; a zjedzą djabła kalwin! jeżeli mnie jedna włóka twojej ziemi wydrą.

— Zgoda! — powiedział książę.

Zaraz oba panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie tranzakcji. Książę Sierotka puścił się na pięćgrzymkę. Minął rok jeden i drugi. Już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia, bo chodzily wieści, raz, że okret na którym płynął, rozbitym został, raz, że z dżumy umarł, inny raz, że bisurmanie go zabili. A że wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszej wiadomości. Pięć księstw i trzy naście hrabstw nie płechota chodzi! Ale człowiek sporządza, Pan Bóg rozrządza. Książę Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy anioła swego przeżył i zdrów wrócił. Szukał śmierci po szerokim świecie i jej nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo, kiedy książę Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo kilka dni zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białą, aby przyjaciela uściskać, — aż, wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo okazały... Zapytuje, kogo to prowadzi i dowiaduje się, że JW. wojewodę Ilinicza, którego przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książę i szczerze po nim płakał, bo był czulego serca, jak kroniki o nim pisza, i nie było cnoty, którejby nie posiadał. Ale, że tranzakcja, jak wół, była wyraźna,

dostało się mu czem tzy obetrzeć i ubogim za duże nieboszczyka świadczyć. Biała, Stawiatycze, Zabłudów, Mir i tyle innych dóbr iliniczowskich weszły w dom Radziwiłłów. Tak jemu pielgrzymka i na ten i na tamten świat pomogła, bo był wart tego. Żona wojewody Ilinicza, Tarłówna z domu, miała posag swój oparty na dobrach męża. Księżę Sierotka, chociaż ona nie miała dotywocia, pokąd żyła, nie tykał ich, zostawując jej wszystkie dochody; a ona, wywdzięczając się za tę łaskę, listem własnoręcznym zapewniła księcia, że ani sama, ani jej sukcesorowie o jej posag nigdy upominać się nie będą, gdyż aż nadto została zaspokojona. Ale potem Tarłowie zaczęli plenić księcia, jakoby takie ustępstwa kobiece nie listem, ale tranzakcją, przyznana w asystencji krewnych, mają się robić. Przez lat półtora o to waczynały się i urywały sprawy. Księżę Michał Radziwiłł, hetman wielki litewski, ojciec księcia wojewody, na trybunale lubelskim zjechał się był z Taria, wojewoda lubelskim, który mu niemało nadokuczał, będąc najzuchwalszym z ludzi. Ale wtenczas na niczem spelszo, a wkrótce JW. wojewoda lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, zginął w pojedynku od JO. księcia Poniatowskiego, podkomorzego koronnego, o którym to pojedynku wiele było gadania. Sprawa dostała się w spadku JO. księciu Lubomirskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu, którego natenczas spodziewano się w Lublinie. Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski, sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyżące się tej sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w której siedziałem, dodano mnie pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat i korona polska nie widziały. Ojciec jego, sędzia ziemski upicki, miał piękny majątek i kilka razy deputował na trybunał.

Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijaka. Oddał go był do palestry, chcąc mieć niedaleko oka; ale ten więcej szablę, niż pióra pilnując, tyle ponakrawał fistów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się, a że był spadkowiec przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucharławy, figura niepochezna; ale mało ludzi równej siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawa była wpaść między nieznanomych i, udając mazgaja, przyjąć do zaczepki. Pozwalał najprzód z siebie żartować, potem odcinał się czem grubem, żeby być wyzwanym, dopiero, minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku, a nakoniec, z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojcem dzieckiem, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. sędziego upickiego, więc miałem przewagę na panu Bartłomieju i wlerzył mu. Bywało, nieraz umityguję go, kiedy, przyjechawszy do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on, że nigdy dotąd z Litwy nie wyjeżdżał, wypytywał się mnie w drodze o Koronie. Razu jednego mówi do mnie:

— Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami; szczególnie radbym poznał jakiego Łęczycanina.

— A to czemu?

— Temu, że, kiedy mnie w szkołach męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzi mówią: „Bić się po djabelsku a Polacy: bić się po łeczycku”. Tyle mi się zostało z całej francuszczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.

— Ej, porzuć, panie Bartłomieju, pleść takie kosałki opałki. Czy nie wiesz, że, pod bokiem trybunału bardę robiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą! Waćpan całe życie guza szukaasz, a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie, — to książę waćpana nie każe wypuścić ze stancji.

— Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał, ale — dla Boga — księciu panu o niczem nie wspominaj!

Myślałem, że się panicz utemperował; bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo, dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy się spuszczaali z góry, naszelniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przełękłem się mocno i zrobiłem intencję, że, jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójść do spowiedzi i komunji. Jakoż, lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstał.śmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencji, bo książę kazał zrana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radzi-szewskiemu w tłumaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie i księcia pana wielkimi przyjaciółmi. Szczęście, że książę miał kapelana i oltarz podróżny z wielkimi przywilejami od nuncjusza, bo inaczej byłoby naszą świętą przypiekl. W istocie konferencja po dwunastej się zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. bazylianów i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Upro-

siłem księdza, że mnie wypowiadał, ale przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej do jutra odłożyć musiałem.

Trybunał w tym roku odbywał się pod łaską JW. Choloniewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś koligację z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypilo, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się nim obracać. On-to mawiał, że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego koligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Księżę pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się, iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę, cywuna ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował, więc przy mnie, jako plenipotencję specjalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać, a jednak, niebardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanji. Poszliśmy więc. Ale że jako w niedzielę wszystkie jurysdykcje były pozamykane, a urzędnicy, pacjenci i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilknaset kroków usiedliśmy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za którymi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się:

— Niezle byłoby sięść na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka.

— Dobrze mówisz. Poczekajże na mnie, a ja pójde do gospody i każe go wynieść.

Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży, do palestry należącej, jakem wnosił z ich ponsowych lubelskich kontuszarów. Ja im się uklonił, oni mnie, i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja, na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip. Widzę pana Bartłomieja, siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyźbie u karczmy. Oni stali kołem przy nim, a on na nich poglądał, jak gap. Jużem poznał, że to będą nie przelewki; przybliżyłem się do niego, a on mi, mazgaja minę robiwszy:

— Panie Sewerynie dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniarzowskim językiem; a ja ich nie ze wszystkiem rozumiem.

Aż jeden z ponsowych panów:

— Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurysdykcja trybunalska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi stąd wyjść albo mąka, albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mamy zmieść, a którego skrupić?

Ja im na to:

— Moi panowie, jam już za stary, abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunji przystępuje. Powtóre, będąc tu w interesie księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozporządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzie ziemski upiecki, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi, panowie, puśćcie nas spokojnie.

Miedzy nimi był, jakem się później dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski,

z Bractawskiego, który wiedział o interesie księcia i, że jego mecenas nim się trudni. Ten się oderwał:

— Panowie koledzy, to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upickiego, co tu na kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonji.

— A czyście mnie ze swego spłchrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli?

— Tyś się naszego kamienia dotknął, to jużś nasz.

— A jakże wy mnie mleć będziecie?

— Powiedzno, bracie, czy ty karabele nosisz tylko dla ozdoby?

— A dla ozdoby.

— To my ciebie wyuczym, jak się z nią obchodzić. Wstawaj i dobywaj szabl!

— A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się ode mnie, a mleć kogo z waszych, bo zboże litewskie dobrze ususzone i twarde.

— Obaczymy. — oderwał się jeden — czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem kolu, ze mną trzeba zaczynać. Wstawaj więc, bracie!

— A kiedy ja się asandzieja boję. Wolę przeprosić, niż bić się.

— Już to za późno. Bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy ciebie wyplaszowali.

— No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie macz między wami Łęczycanina jakiego, niech się nie męczy! — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając:

— Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku! — Tak ja:

— Panowie dobrodzieje, posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was wszystkich starszego. Wszak to w tym samym Lublinie zrobiła się unja Korony z Litwą. Poruszają się zwłoki przodków naszych, jak

sę Litwini z Polakami w temże mieście powadzą. Czyby nie lepiej na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagiełły, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili. Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał za winem i was uczęstował w tej gospodzie.

Zaczęła się miękczyć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła:

— Puść z Bogiem tego pocziwego Litwośza; on nie wiedział o prawach naszego mlyna.

Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spęzła i, siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się, drapiąc w głowę:

— A, to waćpan jesteś marszałkiem tego mlyna? Winszuję. Ale na Litwie młynicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.

— Słuchaj, bracie gapiu, przez wzgląd na twego poważnego kolegę całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakś sam!

— Nie gniewaj się, W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko serjo mówię. A wiesz, dlaczego wolabym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? Bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a to świadek mój kolega, że, kiedyś jechał z Litwy do Lublina, cyganka mu wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć, to, jakem spojrzał na W. marszałka, bardzom się go przestraszył.

Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości i, dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swojego smyczka, plunął w rękę, i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiazywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bólu, ile z konfuzji, stał jak wryty.

— A nu — odezwał się pan Bartłomiej — my-

ślałem, że się bić z koroniarzem wielka filozofja, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować.

— Poczekaj, gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, a i drugi smyczkiem po łbie dostał.

Stał trzeci:

— Chciałeś mieć do czynienia z Łeczycaninem, oto masz go tu.

Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał.

— A to djabeł, nie Litwin — odezwali się koroniarze. — Słuchaj, panie bracie, tyś zadrwił z nas. Udawałeś gawrona, a tyś rębacz czterastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od naszej przepetycji. Jeżeliś temu rad, ofiaruję ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, chociażęś tegi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziemy.

— *Omne trium perfectum* — odezwałem się. — Będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami.

— Zgoda! — odpowiedział Bartłomiej. — Ja, jak mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, to jeszcze za większy poczytnaję waszą przyjaźń.

Zaczął się z nimi całować, przepraszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem:

— Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.

Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka jego samego i kolegów rannych: my piechotę, a ranni na furmance, u żyda najętej. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoćceni, wróciliśmy do siebie. Po drodze stro-

lowałem trochę pana Bartłomieja, ale go jeszcze więcej, jak wprzód, pokochał, bo tak i honor prowincji litewskiej utrzymał.

Nazajutrz, odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału. Mnóstwo było palestry i pacjentów w ustępnej sali; było tego więcej dwóch tysięcy, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłumacząc. W sali sądowej stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkimi złotymi literami: „*Justitias vestras fudicabo*”. To nas uderzyło, że Chrystus Pan miał twarz obróconą tak, że jej rysów nie można było widzieć; ale nasi przyjaciele powiedzieli nam, że snycerz nie był go tak wstawił, i owszem Chrystus Pan wprzód na trybunał patrzył, ale przed laty powien wypadek stał się przyczyną tej zmiany.

Była wdowa szczupłego młana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była, jak burzdyn, czysta, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: — „Żeby mnie sędzili djabli, sprawiedliwszy byłby dekret”. — A że sumienie kłuło nieco deputatów, na roki jej nie pozwano, i wszyscy udali, jakby nie słyszeli, z czem się oderwała. I że to było pod koniec sesji, poróżjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni, jako i świeccy; została się tylko kancelarja i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokitach, z rogami na głowach i ogonami, które się z pod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej,

zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pom'arkowali się pisarze i kancelarja, że to byli djabli, i, w wielkim strachu przy stołach swoich s'edząc, czekali, co z tego będzie. Wtem djabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże wdowy. Przystąpiło do krutek dwóch djabłów, jurystów: Jeden *pro*, drugi *contra* stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie djabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie djabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz, pót umarły z bojaźni i, przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi, niż trybunał, przenaświetszą krwią Jego wykupiony, i w którym tylu kapłanów zasiadało, zasnucona twarz odwrócił i oblicza swego nie poknte (jako miał o tem objawienie świątobliwy jeden bazylianin lubelski), aż naród się pozbedzie zaprzeczności w sądach, świetokupstwa w księstach i pieństwa w szlachcie. Ów dekret djabli podpisali (a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu) i, położwszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunałski, zniknęli. Następnej sesji trybunał znalazł djabełski dekret, gdzie był położony, bo rozum'e się, że nikt z kancelarji ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach, a że akta nikomu nie są wzbronione, kto zechce, może go odczytać, nawet ekstraktem wyjąć.

Podczas gdy my się zastanawiali nad tak niesłychanym wypadkiem, usłyszeliśmy wońnych różnemi tonami powtarzających:

— Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się!
JW. sandomierski idzie!

A potem znowu:

— Ustąpcie się! JW. poznański idzie! — I tak ciągle, coraz innego jaśnie wielmożnego mianując. My czempredzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwoma linjami palestry i pacjentów, poprowadzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkim skinieniem głowy odpłacając niskie ukłony, z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnow i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem:

— Mości panowie, ucieście się, ucieście się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie! — I prawda, że w tak liczmem zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że młucha latająca usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, ukłonem ziemi prawie się dotykał, i dopiero, kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnięciem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło i pomiędzy nimi JO. książę wojewoda wileński z JO. marszałkiem wielkim koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając, chociaż się prawowali; bo wielki dla siebie wzajemnie znali szacunek, ile że, pomimo kilkakrotnych krwi związków, JW. Rzewuski, hetman polny koronny, a książę wojewody szwagier, miał wkrótce łączyć się w dożywotniej parze z córką księcia marszałka, księżniczką Konstancją, panną, która i pięknoscia i rozumem wszystkich zachwycała. JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia wojewodę wileńskiego i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zasiadzieć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźniowie im krzesła poustawiali. Bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność usuwali się. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni creator*,

a deputaci duchowni wszyscy i niektórzy świeccy, jakoż wielu z palestry i pacjentów wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć. JW. marszałek trybunału uderzył laską i rozkazał woźnemu, aby ogłosił gotowość sesji, a ten, stanowiący na progu ustępnej sali, tubalnym głosem wykrzyknął:

— Mości panowie! najjaśniejszy trybunał przywołuje was do stentowania i słuchania spraw. Aglitować się będzie rejestr ordynaryjny. Kolej przypada na województwo krakowskie. Mości panowie, gotujcie się!

Rejent trybunałski głośno przeczytał wokandę, a sprawa JW. Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powodu z WW. Dembińskimi, chorążycami krakowskimi, o awans margrabstwa pińczowskiego wprowadzona została. Pan Koźmian stawał od strony powodowej, a pan Plichta bronił WW. Dembińskich. To lubo były indukta, ani Demostenes, ani Cynceró lepiejby nie mówili. Odbłyło się jeszcze kilka innych wpisów na tej sesji, bo JW. marszałek bardzo był czynny i co sesji kilka dekretów ogłaszał.

A co to była za okazłość! Deputaci duchowni w rękietach koronkowych, deputaci świeccy w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze ponsowe, kołnierze i podszewki zielone, białe żupany. Taki to mundur nosił tego dnia i nasz książę, jako obywatel województwa lubelskiego, w którym oprócz innych dóbr, miał hrabstwo woszczatyńskie, także po Il'niczach, i na tem to hrabstwie pozwy od sukcesorów tarłowskich były kładzione.

Po sieniach hajduki, pajuki, węgrzynki, a strzelców, a halastry, a kozaków, co niemiara; na rynku karety, kołasy, konie — i papież nie powstydziliby się niemi jeździć; a srebro, a złoto wszędzie się kapalo. Na trybunale szlachcie poznawał wielkość swo-

jego narodu. To kiedy po sesji, wracając na kwatery, przechodziłem popod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towaram zagranicznym handlują i wzbogacają się naszym groszem, tam z litością na nich patrzyłem i pomyślałem sobie: Nie zazdrościm wam, że u was każdy, jak mówicie, w kamienicy się rodzi, i że was obfitość figielków stalowych i kościanych. Coby wam było z waszego dowcipu bez naszych pieniędzy! Ani macie, ani mieć możecie tego, co my. Gdzie się jaki nasz pan pokaze, to ani się opedzi od Francuzów, Włochów, Niemców; a żaden z nas do waszych panów nie lezie“.

Tego dnia był obiad wielki u JW. prezydenta, na którym był nasz książę i JO. jego antagonistą; tam się też zrobił początek zgody między nimi. Książę Bykowski, deputat kapituły łuckiej, a który dzierżał infułę obywatela z kollacji JO. księcia wojewody wileńskiego, wielmożnego Radziśzewskego i nas wszystkich dworzan księcia zaprosił do siebie na obiad, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. Ciągłe dawały nam się słyszeć wiwaty z armat tym, których zdrowia spełniano u JW. prezydenta.

Tego wieczora byłem w teatrze i przynajmniej, że się bardzo niecierpliwiłem. Bo człowiek radby wiedział o sztuce granej, i na koniec za to zapłacił, ale nie było sposobu. Co zaczął słuchać, to w prawo i w lewo taki hałas, że człowiek nie wie, gdzie się znajduje. Jak pokaza się wyżej czy deputat, czy jakiego deputata żona, krzycza z dołu wiwat, że aż ściany się trzęsą; a niektórzy wina każą przynieść i wołała na komedjantów, żeby granie przerwali, póki kielich rak nie obejdzie. Dopiero potem pozwoliła biedakom dalej rzecz swoją prowadzić, nōki jej na nowo nie przerwa. Tak sztuka około jedenastej się skończyła; a tyłem o niej wiedział, powracając z teatru, jakbym nigdy ze stacji nie wychodził. Postanowiłem sobie, póki będę w Lublinie, na teatr

nie chodzić i czterech złotych w wodę więcej nie rzucić.

Niedługośmy bawili w Lublinie, bo, jak przyjechał brat J.O. księcia marszałka, pan krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, która od dwóchset lat trwała, w kilku godzinach się skończyła. Książę wojewoda wileński odstąpił na rzecz książąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcesji po Szydłowieckich, a książęta zakwitowali go z posagu JW. wojewodziny Iliniczowej. Komplanację sam JW. marszałek trybunału swoją ręką napisał, a strony, ja podpisyważy, oświadczenie przyznały. Ekstrakt komplanacji przynieśli księciu plenipotenci książąt Lubomirskich, którym nasz książę rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a my podobnież takowy ekstrakt zanieśli książętom Lubomirskim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze dotąd nigdy nie widział żadnego kancierza krakowskiego, który z urzędu swojego jest *Princeps Senatus* obojga narodów. Co dostał wielmożny Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że pan Husarzowski, marszałek dworu księcia Lubomirskiego, wręczył mi tabakierkę papierową, ale ciętka, bo w niej było sześćdziesiąt czerwonych złotych, z których dnia tego użyłem dwadzieścia i cztery na kupno antała wina u Jokiasza, Węgry, a to prawdziwego maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewczka urodziła. Ten antał wyprawiłem na Litwę z transportem księcia pana. Takim sposobem dostał się do Doktorowicz, że o nim nikt nie wiedział, pokąd na weselu tejże córki łaskawi przyjaciele ze mną go nie wysuszyli.

II.

W czasie naszego pobytu w Lublinie cudowny zdarzył się wypadek. W. Kurdwanowski, możny oby-

wateł, który rej wodził w partji tego to hetmana Braniczkiego, co potem zaniósł ojczyznę tam, skąd dostał żonę, był wielkim pieniaczem i ani w Żytomierzu, ani w Włodzimierzu, gdzie miał dobra, nie było kadencji bez kilkunastu jego wpisów; toż samo i w trybunale. Plenipotenci hetmana jego spraw stentowali. Plecy miał silne. Biada szlachcicowi, co z nim sąsiadował! A taki był uparty, że nie znał, co to się zgodzić, i pieniał się do upadłego. Była wdowa, mająca wioszczkę niewielką w środku jego dóbr, którą bardzo życzył nabyć W. Kurdwanowski i kilkakrotnie o to się zgłaszał. Ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, zbyć nie chciała swojej wioski, lubo jej wartość pewnie nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanej. Otóż rozgniewany W. Kurdwanowski tym, jak go nazywał, uporem wdowy, ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędźmi dokazać nie mógł. Miał on sobie obowiązany neofitę Abramowicza, który, liżnawszy jurysterji, do wszystkich brudnych interesów był sposobny. Jakoż podobnem na obywatela się wykierował, że już miał pod Berdyczowem kilka wiosek, które potem dzieci jego odziedziczyły, a przecie żadnego nie opuścił, byle mu coś kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego niecnotę, układa z nim następną machinację: dziać pani Glinkowej od antecesorów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioskę, która go teraz tak mocno tentowała; a donacja, kontrakt rezygnacyjny i kwit *de pretio* były na to w aktach żytomierskich. Przekupują tedy niejakiego Chamca, plenipotentą pani Glinkowej, aby oryginały z pomiędzy jej papierów wydobył i im oddał, które dostawszy, jadą natychmiast do Żytomierza i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają u Rojeckiego, pisarza ziemskiego tamecznego, iż z akt wydiera oblatę tychże dokumentów. Tak zatarłszy wszelki ślad nabycia wsi, zapożywa W. Kurdwanowski panią Glinkową o nieprawne posiadanie, *sine nullo dato et accepto*.

jego majątku. Napastowana wdowa, ufna w świętość swojej sprawy, a niemniej w światło i przyjaźń Chamca, czeka wyroku, co jej spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportacje dokumentów. Pan Abramowicz, jako plenipotent, przysięga, bo tak W. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło, iż nie był na sprawie. Pan Chamiec zaprzysięga także komportację dokumentów, będących w jego ręku, z których zniszczył te właśnie, co stanowiły cały interes jego pryncypalki. A tak sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował Rojecki, pisarz, a który nakoniec może i sumienie postępował, bo tak i sądzi się z dokumentów, nie z własnej wiadomości, przysądził panu Kurdwanowskiemu wieś z kalkulacją od lat kilkudziesiąt. Majetna wdowa, zagrożona tym dekretem z trojgiem dziatek być bez kawałka chleba, apelowała do trybunału, a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale w Koronie dwa dekreta trybunalskie, *conformiter* zapadłe, stanowią dopiero konwiktację. Właśnie, kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa na stół przychodziła. Spieszyl na nią pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał przytem wielu deputatów za sobą i miał czem ich nabywać; a sumienie swoje już był zwyciężył.

Jadąc do Lublina, gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiej. Tam widzi marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby, jemu nieznanym. Marszałek ogłasza, iż sądzić się będzie regestr takowy i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi pana Chamca. Jakież było zdziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc wprowadzenie jego sprawy ze wszystkimi okolicznościami jego zaprzędy i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę pryn-

cypałki! Po wysłuchaniu tej sprawy, w kilku słowach marszałek ogłasza dekret, skazujący na śmierć Chamca; a po przeczytaniu onego, każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Rojeckiego. Słyszy W. Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak pofalszował akta, i t. d., a marszałek równej krótkości dekret, jak poprzedzający, ogłosił, pana Rojeckiego też samo na śmierć skazując. Czeka więc (zawsze we śnie), co tu dalej będzie. Słyszy, że z kolei rejent czyta dwa następne wpisy: Urodzonego Abramowicza i W. Kurdwanowskiego. Marszałek oba wpisy łączy i każe wprowadzić sprawę. Tu słyszy W. Kurdwanowski instygatora, tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodziło, iż trybnał, skazawszy na śmierć patrona Chamca i pisarza Rojeckiego, nie może mniejszej kary naznaczyć Abramowiczowi, co był główną sprężyną całej tej zbrodniczej tajemnicy, a cóż dopiero W. Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi, jako listny szatan, tych wszystkich nikczemników skusiwszy, przywiodł ich do najszkaradniejszego występku — on, co będąc z starożytnego na Podlasiu rodu, powinienby przykładem do cnoty wszystkich zagrzewać, związał się z przechrztami i ludźmi podejrzanego szlachectwa, aby biedną wdowę, prawdziwą, jak on, szlachciankę, zgubić. Jakażby była sprawiedliwość najjaśniejszego trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła p. Kurdwanowskiemu i gdyby ten, co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary! Po skończonym indukcje, nie czekając repliki, bo, po prawdzie powiedziawszy, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: — „Odkładam sesję do Wielkiej ney” — i silnie stuknął laską, a pan Kurdwanowski

się przebudził. Uczuł się zmęczonym tak dziwnym snem, przygotował się w dalszą drogę i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego diabeł przeciw Panu Bogu patronować i wmawiać mu, że sen mara, że o tem myślał, więc to się i przyśniło, że, raz zaczawszy, ambicja każe kończyć, że prawo jest gatunkiem wojny, w której wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć, że, kto przekupuje, za łeb nie bierze — więc ci, co zaprzędali sumienie, o sobie niech myślą; a on w czemże tak bardzo wykroczył? Nawet okazał sumienie dość delikatne, bo nie sam, ale umocowany jego zaprzysięgi komportację dokumentów; że na koniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, może znaleźć sposobność i panią Glinkową wynagrodzić... Tak i do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy, zaczął chodzić koło swej sprawy i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami, gdy pan Chamiec włócił pana pisarza Rojeckiego na jakąś kondescencję, most się pod nimi zawalił i pana Chameca wyciągnęli z pod mostu bez duszy, a pan Rojecki w kilkanaście godzin po tym przypadku skonał.

Dopiero W. Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę. Nietylko że zakwitował panią Glinkową ze wszystkich pretensji do jej majątku, ale z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego przyczyny, i, klęcząc, w obliczu nas wszystkich prosił, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który mu Pan Bóg łaskawy zesłał, a który w części już się zścił. To mu wielką zjednało sławę; bo przyznanie się publiczne do winy, skrusza prawdziwa i zadośćuczynienie dobrowolne, są rzeczy nadludzkie i tylko ulubieniec Boży może je uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany i my, szlachta, wielce-

śmy się z postępuku pana Kurdwanowskiego zbudowali, a ten dowód nowy nieogarnionych a tajemnych rozrządzeń Bożych pewnie dla nikogo straconym nie został. Odtąd pan Kurdwanowski zupełnie odmienił prowadzenie swoje: wszelkiego pieniactwa poprzestał i wiódł życie chrześcijańskie. Ale słowa, we śnie słyszane: „Odkładam sesję do Wielkiej nocy“, utkwiły w nim, bo przez nie rozumiał, że w czasie Wielkiej nocy koniecznie umrzeć musi. Co roku potem przez cały wielki post gotował się na śmierć, rachując się ściśle ze swoim sumieniem. Jakom się dowiedział później, w samej istocie umarł w czasie świąt wielkanocnych, w podeszłym wieku, bo już i natenczas, kiedy go widział w Lublinie, nie był młody; a śmierć jego była do zazdrości, bo więcej lat trzydziestu do niej się gotował.

VII.

SAWA.

Bez najmniejszej przesady wyznać można, że nie tylko doświadczeniem, ale pożyłem nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Bo szlachcic, choć najuboższy, był równy magnatowi; przy pomocy Boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego bywały przykłady), a tej równości z magnatem nie tracił nawet, służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży starodubowski, służył u księcia wojewody wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódca jego milicji i jenerskim plenipotentem, a przecie urzędował Rzeczypospolitej, posłował na sejmach i został orderowym panem. A że był starożytnym szlachcicem, ożenił się z siostrzenicą księcia, panną Brzostowską,

z tak wysokiego domu, i nikt się nie dziwił, że sam kasał wyprawiać wesele, bośmy wszyscy byli równi między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim; że zaś pan był zawsze wysokim sługą Rzeczypospolitej, szlachcic, u niego służąc, służył razem i ojczyźnie.

Już dziś panów niema w Polsce, ani na Litwie, ale zato namnożyło się podpanków, co, nie służąc ojczyźnie, nie z tego, co boli, często nawet ani z soli, ani z roli, ale z jakichś tam podradów, z nabytków niekoniecznie uczciwych, z handelków, z lichwy i podobnych szachrajstw, porobili sobie majątki znaczne; a że i dziadów swoich okazać nie mogą, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okolski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli — więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów sniby dostąpił, i wynoszą pod niebiosa postęp teraźniejszego wieku. Nie wiem, kto w narodzie korzysta z tego postępu? Mieszczan, co nam wyrzucano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widać, tylko po dawnemu handlują sami żydzi, lub gdzieś niedługo jaki Niemiec przybył; a włościaninowi nierównie gorzej. Na Litwie już bojarów zmusili do robocizny, a na Ukrainie zamiast dawnych dni letnich, co ich tylko po dwanaście na rok chłop odrabiał, pędzą go na pańszczyznę od Nowego Roku aż do świętego Sylwestra dzień po dniu. Pletą o prawach człowieka to, co pochwyтали z zagranicznych ksiązek, a nie wiedzą, że, co tam jest w piśmie, u nas było w doświadczeniu — i dokładniej: bo to nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafią wymyśleć. Ale czyż tylko na równości zasady się zaszczyty i szczęście naszego szlachectwa? Szlachcic nie mógł być ani rządzonym, ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał; a sam z zagrody swojej mógł się przenieść i na ławicę poselską i na

krzesło senatorskie — i na tron nawet. To też nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupili się dla potomków. Hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach wałowiali, a sejm za szlachtę ich przyznawały — i takich nazywano *ex charta belli*. Stąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie od narodu dziesięć dyplomów sekretnych dać na szlachectwo takim, co szlachtą nie byli (jak to widzieć w konstytucji 1766 r.), a pozwolenia tego nadużył, zamiast dziesięciu może kilkuset uszlachcając, co sejm był o to skargi i, choć daremne, ze strony posłów dopominania się, aby metryki koronne im okazywano. Bośmy składali stan rycerski i w samych dyplomatach dodawane były zawsze te wyrazy: *preciso scarta bellatum*. Była wprowadzić przez czas niejaki konstytucja, ubezpieczająca szlachectwo każdemu żydowi, przyjmującemu wiarę katolicką, prawo pobożne, przeciw któremu nie godziło się sarkać, gdyż zgodne było z gorliwością narodu, chcącego wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo Boże na ziemi. Ale takowe szlachectwa nie były u nas poważne, bo zdawało się nam, że stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. Szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było narówni z najdawniejszem poważane. Nie podziwiano się dawniej pod cudze szlachectwa, ale prawnie onego dostępowano. Hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów-właścian, co się odznaczyli pod Kłuszynem, a sejm im wszystkim nadał przezwisko Żółkiewskich, tylko kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknięcia familijnego zamieszania. Toż i Rewera Potocki, hetman wielki koronny, podał do klejnotu szlacheckiego wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale z nim razem krew za ojczyznę przelewali. Sejm potwierdził jego spra-

wiedliwie żądanie: stąd na Rusi powstałi Jaroszyńscy, Sabatynowie, Ułaszyńcy, Santamany i inni, którzy bez niczyjego zgorzelenia weszli w udziałność szlachecką, a z których ojczyzna miała potem pociochę. Dlatego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz jaki, przywłaszczywszy sobie szlachectwo, nieprawnie za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innych zasług, tylko, że miał pieniądze. Więc też na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad, aby czy mieszczanin, czy popowicz, czy chłop zbiegły, mógł zostać jego sędzią, prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał *imparitatem* i gdy tego dowiódł, samozwaniec cały majątek utracił, który najczęściej *iure caduco* dostawał się temu, co go przekonał o nieprawie posiadanie zaszczytu nienależnego i tem uwolnił obywatelstwo swojego województwa od wielkiego zgorzelenia; bo, gdyby dowieść nie potrafił, sam byłby karany *pocna talionis*. Młodzieży teraz o tem gadaj, to słucha jakby o żelaznym wilku; albo ona rozumie, czem było nasze szlachectwo? Wie ona z historii, że Jan Zamojski podpisał się: *Nobilis Polonus omnibus par* — a może o tem nie wie, że na Litwie jest kilkadziesiąt domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, chociaż mają do niego niezaprzeczone prawo. Nie tylko Oginińscy, ale Puzynowie, Świrscy, Mickiewicz, Wanikowiczowie, Mirscy, mają mitry w herbach i są prawdziwymi książętami, do czego nigdy przyznawać się nie chcieli, przez miłość równości szlacheckiej. A potem cóż księstwo prawdziwemu szlachcicowi mogło dodać? Jeszcze to nie najdawniej, kiedy książę de Ligne, panujący w Niemczech, ożenił był swojego syna z naszą księżniczką Massalską, starał się o indygenat dla siebie na sejmie 1786 roku i ledwo otrzymał ten zaszczyt z takimi trudnościami, że powiedział publicznie: — „Łatwiej w Niemczech o udziałność, niż w Posce o szlachectwo“. — I dziwi się młodzież, iż ci sami, co długo

trutynowali, czy tak wielkiego meża, hetmana cesarza rzymskiego i księcia udzielnego, przyjąć za szlachcica lub nie, obruszali się na jakiegoś rzecznika albo bandurzystę, co, sam siebie nobilitując, deptał najkardynalniejsze prawo narodu! Zresztą doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa niewielka pociecha. Czytałem w podróży do Ukrainy zachodniej, przez pana Sakowicza wydanej, że w okolicach Machnówki obywatele tak są bezczelni, iż jeden drugiemu psy i konie kradnie. Taka rzecz, dawniej po szlachcie niesłychana, mocno mnie była zastanowiła i temu wierzyć nie mogłem. Jakoż i teraz myślę, że trochę przesadził pan Sakowicz, ale już teraz miarkuję, skąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki, wojewoda kijowski, z wymysłu pańskiego zostawszy handlarzem, do swojego miasteczka Machnówki przywabił był na buchalterję, do której szlachta nasza niezdarna, różnych przechrztów, a popowiczów, a mieszcuchów; tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. Ci ichmościowie, nazbierawszy grosza, szlachtą się porobili i już między siebie porozbierali część dziedzictwa wojewody, a że zabór kraju zaraz nastąpił, to im uszło i *via facti* utrzymali się przy szlachectwie; teraz ich synowie urzędują i nosy do góry zadzierają. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż, jak dziś, być niem obaypanymi? Chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. To też takich paskudztw o nas nie piszą. Tłumaczę więc jaśniej, dlaczegośmy nasze szlachectwo tak wysoko cenili. Nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej Rzeczypospolitej; a kto był jej zasłużonym, ten samem mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, nawet choćby się urodził chłopem. I tego dowód przytoczę: pan Sawa, co się

urodził prostym kozakiem, nobilitacji nie miał, a był marszałkiem zakroczymskim i w czasie konfederacji barskiej zasiadał między panami.

Służyłem pod ś. p. panem Sawą i przy mnie Panu Bogu ducha oddał; a chociaż, nie chwalać się, z dawnego rodu jestem szlachciszem (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu Sopliców podpisało się na elekcji króla Stefana), byłem mu posłusznym. A nie tylko ja i mnie podobni, ale JW. Potoccy, wojewodzice wołyńscy, byli pod nim regimentarzami, i, chociaż magnaci cała gęba, drżeli przed nim. Razu jednego, gdy jeden z wojewodzców niedość prędko dopełnił jego rozkazu, przez co Drewniczowi udało się ująć prawie z rąk naszych, pan Sawa zaczął lajać wojewodzica i zagroził mu, że jeśli kiedykolwiek dopuści się podobnej opieszałości, to każe mu w łeb wypalić. To było wobec kilku panów, zapewne spokrewnionych z wojewodzicem, a nikt nie powiedział: — „A co ma kozak gnębić senatorskiego syna?” — bo wszyscy mieli Sawę za równego sobie. Jakoż w istocie poświęceniem się swoim dla ojczyzny wyrównywał on tym zasługom, które magnaci po przodkach odziedziczyli i przez które jedynie są magnatami.

Sawa urodził się w starostwie czechryńskim, skąd był i przeklęty zbrodnicznik Chmielnicki (tak to z jednego drzewa może być i krzyż i motyka!), a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta czechryński, przywiózł go małym do Warszawy i gdy go odumarił, a Sawa podrósł, po dworach służył za kozaka; bandurkę rzucił, a nawyki do innych zabaw: i spłas i szabłą tego robił, na polowaniach zajęce z pistoletu ubijał, naszego języka się wyuczył i nasz obrządek przyjął; bo, chociaż i pierwaj był katolikiem, jeno obrządku ruskiego, mając szlachetne serce, jak najmniej chciał się różnić od szlachty. W czasie siedmio-

letniej wojny w pułku Szybiłskiego (prostego, jak on, włościanina) Fryderykowi pruskiemu służąc, tak sobie zjednał sławę, że tam los mógłby sobie być zapewnić. Ale, stęskniwszy za ojczyzną, od niej wrócił, a, jako nieszlachcic, nie mogąc się w komputówem wojsku umieścić, na nowo musiał po panach służyć. Kiedy się zaczęła konfederacja barska, był wielki zjazd w Piotrkowie, na reasumcji trybunału. Mnóstwo było panów z licznemi pocztami; a że wielcy panowie prawie wszyscy mieli dobra na Rusi, do kilkuset kozaków zbrojnych przyprowadzili ze sobą. Sawa także się tam znajdował i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka trybunału, a będąc sam kozakiem, łatwo się z kozakami porozumiał i tak koło nich pochodził, że, jak na cztery tuzy w tryzaku, mógł na nich rachować. Kiedy pan Kwilecki, starosta kościański, marzałek konfederacji, rozbił księcia Sołtykowa pod Rozrażewem, Sawa, zebrawszy do półtrzecia sta kozaków na dobrych koniach, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkał po drodze rejturującego się Sołtykowa, napadł na niego niespodziewanie, rozbił do reszty, zabrał mu armaty, samego wziął w niewolę i, złączwszy się z panem Kwileckim, z nim razem szedł do miasta. Ten wypadek rozszerzył konfederację po całej Wielkopolsce. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży i zaczęli maszerować ku Warszawie. Sawa upewniał, że stolica dostanie im się w ręce, że gwardja koronna z nimi się złoczy, a, mając mieszczan po sobie, stojących tam Moskali niemasz czego się obawiać. Gdyby posłuchano pana Sawę, inny kierunek rzeczyby wzięły. Doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość przez obywatela, co się do niego przedarł, że całe Kujawy i Płockie są gotowe do powstania, byle tylko jeden zbrojny konfederat im się pokazał. To go zdecydowało zaniechać Warszawę, któ-

rej się prawie dotykał, a co prędzej dostać się na prawy brzeg Wisły.

— Nuż nam się nie uda opanować Warszawy?— mówił Sawie. — Jeżeli porażeni zostaniem, co być może, bo ten tchórz Poniatowski, co mógł, musiał zebrać na swoją obronę, natenczas cała konfederacja na Wielkopolsce przepadnie, której ledwo trzecia część powstała. Lepiej nam się wzmocnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero potem napewno pójść do Warszawy.

Napróżno Sawa ofiarował mu ze swoją przednią strażą napaść na stolicę, byle mu tylko pan Kwilecki stał w odwodzie, aby w przypadku do niego mógł się cofać; napróżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem i świeżem doniesieniem potwierdzał wszystkie wnioski Sawy o duchu stolicy i gwardji — nie nie mogło przekonać pana Kwileckiego. Był on dobrym żołnierzem i w wojsku francuskim w młodości swojej służył, ale na nieszczęście więcej wierzył w zagraniczne prawidła sztuki wojkowej, niżeli w instynkta polskie, a do tego popierał go w zdaniu Gawar, inżynier francuski, przy nim będący, w którym szczególną miał ufność. Ten, uzyskawszy dość wziętości, iż przyczynił się do zwycięstwa pod Rozrażewem, nie mógł pojąć, jak można w trzy tysiące ludzi dobywać miasto wielkie, bronione przez ośm tysięcy żołnierzy. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić przednią straż ku Wyszogrodowi, gdzie szczęśliwie przez Wisłę się przeprawili.

Pod pewnym względem niezupełnie pomylił się pan Kwilecki. Bo, jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły konfederację. Oddzielił więc od siebie Sawę w trzysta koni, dał mu pod komendę pana Franciszka Dzierżanowskiego z częścią Mirowskich i ka-

zał iść do Zakroczymia, aby rozszerzać powstanie po Mazowszu, a sam poszedł do Płocka, dla poparcia wzrastającej konfederacji. Pan Dzierżanowski z początku chciał drzeć koty ze swoim dowódcą, jako szlachcic i oficer gwardji z kozakiem, ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że, lubo przy nadzwyczajnem męstwie był dość burzliwym, słuchał go jednak potem, jak dziecię piastunki.

Mnóstwo młodzieży mazowieckiej do naszych się garnęło i zaciagało się pod znaki Sawy. Od nich dowiedział się, że w Zakroczymiu stoi bataljon moskiewski i kilkaset dońców. Moskale, widząc, że dąży ku miastu, wyszli naprzeciw niego, tem pewniejszy zwycięstwa, że silny oddział karabinierów przybył im w pomoc z Warszawy. Rozwinięwszy się przed Zakroczymiem, ledwo naszych zoczyli, dali ognia z armat, a potem posunęli szpalko naprzód swoją kawalerję. Pan Sawa zalecił panu Dzierżanowskiemu cofać się przed kawalerją moskiewską, a sam, zakryty jego obrotem, rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, skoro się jazda oddali. Doskonale się udało. Pan Dzierżanowski, niby uciekając przed karabinierami i dońcami, tak ich w pole wyprowadził, że pan Sawa miał czas pokazać się, jak piorun, pod samym Zakroczymiem. Jak go spostrzegła piechota moskiewska, uszykowała się w czworobok i sypnęła ognia; ale pan Sawa nie dał jej się poprawić, czworobok złamał, cztery armaty zabrał i cały bataljon w pień wyciął. Opamiętała się dopiero jazda nieprzyjacielska na słuch wystrzałów, że się oddaliła zanadto i wzięła się coprędzej do odwrotu. Chociaż pan Dzierżanowski już jej na karku siedział, w największym jednak porządku szła, myśląc, że do swojej piechoty się cofa. Wtem pan Sawa jak ją przywitał kartażami z armat, przez siebie zdobytych, wazwstko się rozsypało: ten do lasa, ten do Sasa, a pan Dzierżanowski nabrał tego, ile sam chciał.

Po tak świetnem zwycięstwie wszedł pan Sawa do Zakroczymia, gdzie mnóstwo było obywateli, uwieczonych po klasztorach, którym natychmiast wrota otworzono. Liczne magazyny wpadły w jego ręce, a czego pan Sawa dla wojska nie użył, to rozdał między mieszkańców. I, nie tracąc czasu, zgromadził szlachtę będącą w mieście, aby co prędzej sporządziła akt powstania. Tak się podniosła konfederacja w Zakroczymiu, której marszałkiem Sawa jednomyślnie ogłoszonym został, a regimentarzami obrani byli: pan Potocki, wojewódzcy wołyński i pan Lelewel, burgrabia zakroczymski.

— Bójcie się Boga, panowie! — mówił Sawa — Ja prosty kozak, jakże wam szlachcie mam marszałkować?

— Innego marszałka nie chcemy! — krzyknęła szlachta. — Pan Bóg i twoje zasługi namaszczyły cię polskim szlachcicem, nim sejm za takiego przyzna.

Przy tem nie byłem, ale tak o tem wiem, jakbym na to patrzył; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy i od pana Dzierżanowskiego i od p. Lelewela i od wielu innych, z którymi później służyłem, a każdego relacja na jedno godziła. Dość, że ta sama szlachta, co nie tylko urzędnika, ale wioski dzierżyłaby nie pozwoliła nieszlachcicowi, marszałkiem swoim ogłosić kozaka; bo nasza duma szlachecka nie była *ad destruendum, sed ad aedificandum patriam*. A sam widziałem, jak inni marszałkowie, nawet i sam JW. Pac, co był nad nimi wszystkimi, obcowali z p. Sawą, jak z równym, i tyle go szanowali, że, gdyby był wyniesiony nie tylko na marszałka, ale i na kasztelana krakowskiego, niktby z poczetowych przeciw temu słowa nie powiedział. Taki z niego był i wielki wojownik i godny obywatel. I ciągle się odtąd wplawiał marszałek zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było iść o zakład, że i on tam jest. A że ludzie obok niego

i za nim padali, że kule ustawicznie robiły mu dziury w odzieniu, tak, że zawsze latany chodził, a sam nigdy ranny nie był. Rusini zaś są zabobonni, między jego kozakami urosło przekonanie, że on był „charakternikiem”, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, aby go żadna trafić nie mogła. Od nich i do nas ta pogłoska się rozeszła; przyznaję, że i sam temu wierzyłem, a to mniemanie bardzo go obrażało: raz, że był dobrym katolikiem, powtóre, że, jako rycerz, miał sobie za krzywdę, gdy o nim myślano, jakoby dla tego na niebezpieczeństwa śmiało się narażał, że wiedział, iż mu się nie stanie; i nieraz byłem świadkiem, jak przeklinał swoje szczęście, co mu rany dostać nie pozwalało. Ale na biedę ojczyźnie i nam wszystkim, przekonałem się, że on nie był charakternikiem. Bo, kiedy pan Sawa później chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda wziąć Warszawy, zebrał z różnych komend do tysiąca koni (i ja mu się wtedy dostałem); szliśmy lasami powiatu radomskiego, gdzie często po drodze udawało nam się gromić oddziały moskiewskie. Pod Jankowicami nawet Drewicza zbiliśmy i możebyśmy go samego żywcem schwytali, gdyby pan regimentarz Potocki nie był się o jedną godzinę spóźnił; wszelako wzięliśmy przeszło pięćdziesiąt drewiczowskich huzarów, których wszystkich pan marzałek kazał zakłuć: pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki i z niewolnikami moskiewskimi zawsze łagodnie się obchodził; ale że Drewicz wielkie okrucieństwa popełniał, żonom konfederatów piersi odrzynał, niewolnikom naszym skóry z ramion zdzierał, a robiąc niby wylety wiązace, mówił, że im kontusze sprawuje, i podobne okrucieństwa wymyślał — więc pan Sawa dla żołnierzy pułku Drewicza równem okrucieństwem odpłacał. Posłaliśmy dalej, zawsze dążąc do Warszawy, a Suwarow, natenczas brygadjer moskiewski, na czele czterech tysięcy ludzi oddzielił się, by nas ścigać

i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa, choć nierówny w siłę, odważył się pójść wstępny bojem. Mszczonów był w rękę Moskali; wielki staw przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już część jazdy moskiewskiej przeszła była groblę i piechota zaczynała przez nią przechodzić i od naszej strony szykować się. Pan marszałek myślał napaść na jazdę, nim piechota przejdzie, aby, skrzydłem atakując, od grobli ją oderwać. Użył wtedy do boju swoje wojsko i, pana wojewodzica wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie z półtorastą konimi, na Moskali uderzył. Dobrze się udało było, bo, gdy uderzył, zaczęli pierzchać w nieporządku, i już byłby ich odciął, ale nad samą groblą na wzgórku stały armaty moskiewskie, które jak dały ognia, od pierwszego wystrzału pan marszałek dostał kartaczem w udo i spadł z konia. Kozacy, co byli do niego, jak do ojca przywiązani, a mieli go za charakternika, widząc go rannym, bardzo się przelekli, jednak rzucili się ku niemu na ratunek. Skoro go podźwignięto, z największą przytomnością oddał dowództwo regimentarzowi zakroczymskiemu Lelewełowi, zalecając mu, by ścigał pierzchającą jazdę moskiewską, a sam się kazał zanieść na rękach do karczmy, przy której stał wojewodzie wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać, jak mogli, udo pana marszałka. Poznać było po twarzy, że mocno cierpiał, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko patrzył na komendę swoją, którą panu Lelewełowi poruczył. Ale ten jej rady dać nie mógł; bo, jak spostrzegli ludzie, że już nie Sawa ich prowadzi, tak zaczęli pierzchać, że uciekający Moskale opatrzywszy się, wrócili do szyku i pędzili naszych, a tu coraz więcej jazdy moskiewskiej przechodziło przez groblę. Pan Sawa, widząc, że dobrowolnie nasi się gubią, choć udreżony boleściami, chciał, by go na konia posadzono,

ale nie mógł siedzieć. Kazał więc wynieść kołyskę z karczmy, przywiązać ją do dwóch najlepszych swolch koni, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie w nią włożyć, określić pasami i końce ich do terlic kozackich przymocować. Tak niewygodnie i niebezpiecznie wiazać na powietrzu między kozakami, wziął w rękę proporzec i prowadził nas do ataku. Opamiętał uciekających naszych żołnierzy, zawrócił ich z sobą i, pomimo najokropniejszych boleści, dając niesłychany przykład męstwa, złamał szyk Moskali i zmusił ich do ucieczki. Ale wszystko było zapóźno. Już piechota moskiewska i armaty przeprawiły się przez groblę. Jak zaczęli ognia do nas dawać, sam pan Sawa pomiarkował, że niema nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, że do jednego wszystkich nas wystrzelają. Lubo boleści jego coraz więcej się wzmaczały, że ledwo od rozumu nie odchodził, z największą przytomnością prowadził nasz odwrót przez Mazczonowską Wołę. Przedzeliwszy się wsią od ścigającej nas jazdy moskiewskiej, która, dwa razy rozsypana, trzeci raz na karku nam siedziała, z dwóch stron razem kazał wioskę zapalić. Ponieważ wiatr był silny, wkrótce cała stanęła w płomieniach i to wstrzymało czas jakiś Moskali. Sawa rozdzielił swoje wojsko na dwie połowy. Dowództwo jednej oddał wojewódzcowi wołyńskiemu, a drugą poruczył p. Leliewelowi, nakazując im najusilniej, aby każdy inną drogą cofał się ku krakowskiemu województwu, i nigdy nie łączyli się z sobą; sam zaś z dwoma kozakami i ze mną, który go nie chciałem odstąpić, zostając na miejscu, pożegnał swoich i pocieszył przyrzeczeniem, że, jak tylko ranę wyleczy, znajdzie ich gdziekolwiek byli. Wszystkie konie zostawiliśmy przy komendzie, a pana marszałka piechotę na rękach naszych zanieśliśmy w głąb lasu i całą noc przepędziliśmy w krzewinach pod gołym niebem, ratując go,

jak było można. Coraz bardziej jednak upadał na siłach i czasem nawet omdlewał. Nazajutrz rano, zawsze z drogim naszym ciężarem, puściliśmy się dalej w las na wolę Bożą. Błąkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę, jak się potem okazało, podleśniczego maszczonowskiej puszczy i, oddawszy się Bogu, na oślep do chałupy weszliśmy; bo trzeba było koniecznie w spokojnem miejscu złożyć pana Sawę, inaczej byłby skonał nam w ręku. Podleśniczy okazał się pocziwym szlachcicem i wiernym ojczyźnie; bo, choć ubogi i obarczony dziećmi, ostatkiem się z nami dzielił. Mnie i kozaków poprzebierał za gajowych, a własną pościel w zamkniętej komórcie oddał panu marszałkowi, którego podleśniczyna pielęgnowała. Potem sam w nocy wózkiem udał się do Maszczonowa, skąd przywiozł żyda cyrulika. Ten opatrzył ranę pana Sawy; udo tak mu było spuchło, że wszystko musieliśmy prać na nim. Boleści odnowiły się okropnie przy pierwszem opatrywaniu; już nie mógł wytrzymać, jęknął kilka razy, a potem zemdlął, żeśmy go ledwo odtarli. Przyszedłszy do siebie, powiedział nam:

— A co? Prawda, żeś nie charakternik — i, pokazując swój szkaplerz, dodał: — Cały mój inkłuz; innego nigdy nie miałem.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano; a szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, której, jako i jej mężowi powierzyliśmy, co za wielkiego człowieka mają w swoim domu, miała o nim staranie, jak o rodzonym ojcu. Dobrze nam szło przez tydzień: pan marszałek zaczynał przychodzić do siebie i, na jednej nodze skacząc, przenosił się już z łóżka do kufra pani Kleczkowskiej, na którym siadywał, aby nie nadto zleniwieć. Cyrulik robił nam nadzieję, że za parę tygodni najdalej na koniu będzie mógł siedzieć. Ale w Maszczonowie stała komenda moskiewska; bo pan wojewódzic wołyń-

ski przed Suwarowem nie umknął i w kilka dni po rozstaniu się naszym rozbiły, dostał się do niewoli z mnóstwem ludzi, gdyż z trzechset przeszło żołnierza, co ich miał jeszcze, ledwo pięćdziesiąt uszło, a resztę Moskałe zabrali lub pobili. Otóż Suwarow, dowiedziawszy się od jeńców, że Sawa, ranny w maszczonowskiej potyczce, niewiedomo, gdzie się podział, wnioskował sobie, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś niedaleko. A że jemu bardzo szło o to, aby go dostać, raz, że to był jeden z najdzielniejszych wodzów konfederacji, powtórę, że chciał na nim pomścić się wielu drewiezwowskich huzarów, którym pan marszałek, płacąc za ich okrucieństwa, kazał ręce i nosy podrzynać — oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem, kazał mu stanąć w Maszczonowie i koniecznie pojmać Sawę.

Gdzie djabełska robota, tam sam djabeł pomaga. A że wojsko moskiewskie na dwie części się dzielił: połowa oficerów, żołnierze, a połowa szpiegi, i tych ostatnich większą wziętość i prędzysze postąpienie, niż pierwszych (szpiegowskie rzemiosło przywodzi u nich do wysokiego stopnia doskonałości), doszledzili przeto prędko, że cyrulik maszczonowski tajemnie co nocy gdzieś wyjeżdża. Łapią go i dopóty biją, aż się przyzna, że w lesie opatruje jakiegoś rannego. Biorą żydą, sadzą go na konia, aby był ich przewodnikiem i w czterdzieści koni za nim ruszają do leśnej chałupy. Otoczyli ją nagle, a kilku z nich wpadło do izby. Gospodyni im grzeczności robi, zapytuje, czy nie każą sobie czem poczęstować, ale oni, nie nie mówiąc, prędko przetrząsają wszystkie kąty, a spostrzegłszy komorę zamkniętą, wysadzają drzwi i zastają pana Sawę, siedzącego już z pistoletem w ręku.

— Pierwszemu z was, co do mnie przystąpi, w łeb strzelę! — zawołał Sawa.

Oficer moskiewski cofnął się, lecz natychmiast

kazał chałupę zapalić. Ja i dwaj kozacy wynieśliśmy z izby pana marszałka. Jak go ów oficer obaczył za domem, szyderskim tonem odezwał się do niego:

— A szto mospan, tiepler kapitulujesz?

— Oto moja kapitulacja! — odpowiedział marszałek i pórą mu przesyłał kulą. Tedy drugi oficer krzyknął:

— Zakoli jewo!

My, choć bezbronni, ciałem naszym zaczęliśmy go zasłaniać; ale jak jeden Moskal urzwał mnie szablą po łbie, krew mnie oblała i straciłem przytomność, a kilku na mnie padło z postronkami i, zaraz związany, ani ruszyć się mogłem. Pana marszałka, bezbronnego i leżącego, zaczęto kaleczyć niemilosierdzie. Jeden oficer, jak się pokazało, Polak w służbie moskiewskiej, bił go po głowie drzewcem od spisy; nasi dwaj kozacy, to wdzając, gołemi rękami odepchnęli nikczemnika; ale on ich obydwóch zakłuć kazał i obydwoję skonał tuż przy mnie, mając oczy na pana marszałka obrócone. Oficer od dońców zgorzzył się postępkami Polaka i sam zaczął zasłaniać naszego wodza, mówiąc:

— Leżaszczawo nie bić! — przytem reflektował go, że, jak żywcem przyprowadzi Sawę do jenerała, to prędzej dostanie krzyż, niż gdyby trupa przywiózł.

Na jednym wozie oba nas przywieziono do Mszczonowa: mnie skrupowanego, że się ruszyć nie mógł, ze łbem obwiązanym, a pana Sawę kilkakrotnie pokutego, z głową opuchłą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wozu, który czwałem konie ciągnęły, było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pan marszałek musiał cierpieć! Jednak nie skarżył się, tylko całą drogę odmawiał psalmy pokutne tak przejmującym głosem, że chociaż temu lat pięćdziesiąt i więcej, ile razy mówię lub słyszę: *Miserere mei Deus*

secundum magnam misericordiam tuam, zaraz mi staje przed oczyma nieboszczyk marszałek zakroczyński, łzami się załamam. I teraz, to płaząc, płacząc.

Przywieźli nas do Mazczonowa, gdzie już miał komendę generał Potapow, Moskal rodowity, człowiek godny i pełen charakteru. Obszedł on się z nami bardzo po ludzku: do pana Sawy mówił z uszanowaniem i cześć kwatery swojej mu odstąpił, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Potem z błotem zmieszał oficera za barbarzyńskie z nami, a szczególnie z marszałkiem postępowanie; swojemu felczero-
wi kazał rany nasze opatrywać i zapytał pana Sawę, czego żąda, oświadczając, że starać się będzie wszelkie jego rozkazy wypełnić. — „Niedługo panu generałowi naprzykrzę się — odpowiedział Sawa — bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza“. — Jakoż natychmiast sprowadzono proboszcza, który go wypowiadał, dał mu Ciało Pańskie i odmówił modlitwy, które za nim pan Sawa powtarzał bardzo przytomnie i tak wyraźnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był bliskim śmierci. Potem zasnął cokołwiek, ale wkrótce się obudził i powiedział mi:

— Oto mam szkaplerz, w którym są zaszyte relikwie św. Wojciecha; jak skonam, zdejmiesz go, i zaklinam waćpana, byś go oddał p. Kazimierzowi Pułaskiemu, staroście wawerskiemu. Jeśli ci się uda kiedy z nim się zobaczyć, powiedz mu, że do śmierci był jego przyjacielem, a on niech ten szkaplerz nosi, jako ostatnią odemnie pamiątkę.

To powiedziawszy, zażądał wody, wziął do ust, ale już przełknąć nie mógł; coś zaczął mówić niewyraźnie, można tylko było dosłyszeć: „Jezus, Marja, Józef“ — i zaczął konać. Nie pamiętam, co się ze mną działo, ale jednak wypełniłem jego rozkazy: szkaplerz zdjąłem i nosiłem na sercu, póki nie zobaczyłem się z W. starostą, co nie długo nastąpiło:

a odkąd mam kawał własnej ziemi, co rok egzekwie
ma sprawuję. Niezadługo po śmierci marszałka wy-
prawili mnie Moskale do Kazania z JW. wojewodzi-
cem wołyńskim i z innymi jeńcami; a Bóg świadek,
że mniej czułem stratę wolności, niż, że ojczyzna
nie będzie się już cieszyć tak dzielnym i poczciwym
synem, jakim był pan Sawa.

462
Miejska
Biblioteka Publiczna
w Suwałkach



28745

Czas odnowić prenumeratę na drugi kwartał!

W razie nieodnowienia prenumeraty do dn. 5 kwietnia b. r.
wysyłka książek zostanie wstrzymana.

O D A D M I N I S T R A C J L

Upraszamy naszych czytelników o:

- 1) czytelne wypisywanie adresów na blankietach nadawczych P. K. O., bądź — przekazach pocztowych. Szczególnie zwracać należy uwagę na dokładne i czytelne wypisanie nazwy Urzędu Pocztowego;
- 2) zaznaczanie przy nadawaniu pieniędzy, za który kwartał prenumerata zostaje opłacona;
- 3) w listach prosimy podawać obok swego nazwiska, numer abonamentu, który każdy czytelnik ma umieszczony na każdej opasce książki obok swego adresu i
- 4) nadsyłanie znaczków pocztowych na odpowiedzi, gdyż przy tak tanim (czterdziestogroszowym) wydawnictwie nie jesteśmy w możności opłacać odpowiedzi na poszczególne listy w wielkiej liczbie do nas napływające.

UWAGA: 1) prenumeratę przyjmujemy co najmniej kwartalną;

2) przy zmianie adresu prosimy nadesłać znaczkami pocztowymi 30 groszy.

SPIS KSIĄŻEK I-ego KWARTAŁU:

1. *Kalendarz-Informator Polski 1925.*
2. *J. I. Kraszewski. Pamiętnik Mroczka.*
3. *A. Szymański. Dwie modlitwy.*
4. *W. Kosiakiewicz. Nasz maly.*
5. *M. Rodziewiczówna. Ryngraf. Złota dola.*
6. *A. Ossendowski. Po szerokim świecie.*
7. *H. Rzewuski. Z Pamiętników Soplicy.*
8. *Włodzy Skiba. Nad poziomym. Tom I.*
9. *Włodzy Skiba. Nad poziomym. Tom II.*

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

Warszawa, Nowowiejska 27. Konto P. K. O. 9779.

~~Miejaka~~
~~Biblioteka Publiczna~~
~~w Suwałkach.~~



20. -

